MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XI. Nr. 48. WARSZAWA, 11 PAŹDZIERNIKA 1931 R. CENA NUMERU 80 GR.

O PODMIOCIE WŁADZY PAŃSTWOWEJ

KONSTYTUCYJNE i polityczne zagadnienie podmiotu władzy jest tylko pośrednio związane z pytaniem, skąd pochodzi władza, natomiast jest poszukiwaniem odpowiedzi na pytanie: do kogo we współczesnem państwie cywilizacji naszej władza należy, kto ją ustala i dzierży.

Stwierdzając pogląd kierunku narodowego na problem pochodzenia władzy i przyjmując, że pochodzi ona od Boga, warto jednakże w wywodzie niniejszym ustalić polityczne znaczenie i skutki tego pojmowania. Problem pochodzenia władzy nie należy do dziedziny prawa politycznego w całej rozpiętości, należy jednak na pewnym odcinku i, nie pozostając w dziedzinie czystej abstrakcji, jakby to komu może dogadzało, sprowadzić musi prawno-polityczne następstwa.

Uznawać pochodzenie Boskie władzy znaczy przyznawać, iż podstawy moralne struktury prawnej państwa oraz wytycznych zasad rządzenia, muszą tkwić w wyobrażeniach i pojęciach religijnych i moralnych narodu, że nie mogą urągać jego wierze i religji, ukształtowanemu przez wieki poczuciu moralnemu.

Państwo narodowe nie jest państwem t. zw. pogańskiem, czyli organizacją tylko siły. Pojmowanie narodu, jako całości duchowej i związku moralnego wyklucza samo przez się kult siły i przemocy, jako czynnika dominującego. Istota rozwoju dziejowego tkwi w pierwiastkach duchowej natury, a źródłem siły ramienia ludzkiego jest w gruncie rzeczy również duch ludzki.

Że we współczesnem państwie europejskiem „władza należy do narodu", na to możnaby uzyskać zgodę ze stron bardzo wielu. Właściwy problem, kwestja i spór zaczyna się dopiero, kiedyby przystąpić do definicji pojęcia narodu, albo, w sferze ścisłego prawa, do precyzowania tego, co się za objaw woli narodu uważa.

To zagadnienie jest z punktu widzenia narodowego nierozstrzygnięte, a przytem wcale nie proste ani łatwe.

Pogląd dziewiętnastego stulecia identyfikował pojęcie „woli narodu" z pojęciem woli ciała wyborczego do izb parlametarnych. Zgodnie z tą myślą, w sposób zabójczo prosty załatwiła sprawę konstytucja 17 marca, która za „naród" uznała sumę osób obu płci, zamieszkujących państwo od pewnego czasu, które pozatem ukończyły lat 21. Za objaw woli tego narodu uznano akt głosowania przy wyborach do Sejmu i Senatu.

Taka struktura demokratycznego państwa porewolucyjnego nie da się zrozumieć bez przypomnienia jego właśnie rewolucyjnej genezy oraz bez uświadomienia sobie, jak wyglądał ustrój poprzedni, monarchji absolutystycznej.

Władza w państwie przedrewolucyjnem należała do monarchy i w stosunku do doraźnych objawów woli ludności, zwłaszcza, kiedy ta ludność skłóciła się ze swym królem, przedstawiała się, jako element narzucenia. Rewolucja, która była w dużej mierze dziełem tajnych spisków, wrogich monarchji oraz reprezentowanemu przez nią tradycyjnemu porządkowi, postawiła doraźne objawy woli ludności jako czynnik suwerenny i jedyny w państwie. Tkwiło to w logice przewrotu, a pozatem inspiratorzy i kierownicy rewolucji, pozrzeszani w tajnych związkach,

których ujawnić nie mogli, a rozwiązywać nie chcieli, nie odczuwali potrzeby ani ochoty dania zewnętrznego, formalnego wyrazu temu czynnikowi życia narodowego, który z pewnością bardziej istotnie, niż doraźne akty wyborcze czy też manifestacje rozagitowanego tłumu, objawiać miał wolę historyczną narodu. Ich trjumfem było destrukcyjne dzieło obalenia monarchji, jako właściwego przeciwnika i konkurenta w rządzeniu narodem, a w miejsce tej instytucji mieli swój związek tajny, hierarchicznie zorganizowany i zdyscyplinowany. Stąd w oficjalnej, konstytucyjnej budowie państwa demokratycznego mogła powstać luka, do której zdołaliśmy myśl naszą przyzwyczaić.

W rozważaniach nad objawami woli narodu artykuł niniejszy nie stawia sobie zadań dalej idących i obładowanych większemi pretensjami, niż zaznaczenie pewnych punktów widzenia, które mogą odsłonić jakieś horyzonty, interesujące strony zagadnienia.

Kształtowanie się woli zbiorowości ludzkiej zdaje się mieć taki przebieg typowy, iż proces ten dzieli się odrazu na dwie odnogi i dokonywa następnie w dwu odrębnych członach. Jednostki bardziej związane z życiem całości i obdarzone poczuciem interesu zbiorowego, a przytem zwykle energiczne, inicjatorskie, władcze stają się ogniskiem świadomości i woli zbiorowej, patrzącej w dal, wyrastającej ponad interesy i dążenia poszczególnych osób i poszczególnych momentów życia. Jednak wielka część członków zbiorowości ma psychologję codzienności, myśli ich obracają się w ciasnem kole spraw rodzinnych czy zawodowych, interes ogólny jest zazwyczaj dla nich dość odległą abstrakcją, przyszłość zasłonięta nieprzebitą dla wzroku zasłoną. Pomyślny rozwój zbiorowości wymaga współdziałania obu elementów rozdwojone woli: historycznej i codziennej. Instrumentem bowiem planów dalekich i czynnikiem ich realizacji pozostanie zawsze codzienność i doraźne reakcje szerokiego ogółu. Głównem zadaniem ustroju państwowego jest dobra organizacja tego współdziałania.

Trudno przedstawić ewolucję poszczególnych czynników woli zbiorowości w jakimś schemacie typowym, przeciętnym. Pewne wszakże linje tego rozwoju zdają się rysować wyraźniej.

W pierwszym okresie rozwoju narodowego walczą z sobą ogniska świadomości i woli wyższej tej samej kategorji historycznej o zapanowanie bezwzględne. Gdy zaś nastąpi zwycięstwo, grupa, która je odniosła, nadaje mu formy trwałe, objektywne — prawne. Co najważniejsze zaś, tworzy instytucję prawną, państwową (dynastja np.), której rola polega właśnie na reprezentowaniu czynnika świadomości, woli i dążeń historycznych oraz osobowości ukształtowanej narodu. Powstanie takiej instytucji oraz ostanie się jej oznacza zarazem utrwalenie się w świadomości i woli ogólnej oraz codziennej pewnego zasobu wspólnych pojęć, dążeń, spajających w całość. Posiada ono również to doniosłe znaczenie, że odtąd walki poszczególnych ognisk świadomości i woli narodowej uzyskują wspólną płaszczyznę, punkt oparcia, który chroni przed rozbiciem. Istnieje odtąd: 1) instytucja o zagwarantowanem prawie reprezentowania historycznej woli narodu, 2) istnieją poszczególne grupy, ogniskujące odłamy względnie odmiany (pierwszy okres ustalił wspólne podstawy) świadomości i woli zbiorowej, które rywalizują pomiędzy sobą w ramach przyjętych form o uzyskanie w danym okresie prawa realizacji historycznych dążeń, i wreszcie 3) pozostaje czynnik codzienny woli, nastroju i świadomości zajętego sprawami wąskich, partykularnych horyzontów ogółu ludności.

Ewolucja tego ostatniego czynnika wymaga dodatkowego potraktowania. Przytem podkreśla się konieczność subtelnego rozróżnienia pomiędzy t. zw. masą, najszerszym ogółem ludności, a czynnikiem jego woli objawionej doraźnie. Doraźność tego objawu wyciśnie zawsze swoje istotne piętno, niezależnie od wartości i poziomu samej „szerokiej masy".

Historyczny rozwój narodów naszej cywilizacji doprowadził, zwłaszcza u niektórych z nich, do bardzo wysokiego poziomu kultury ogółu ludności. Wszystkie warstwy zostały powołane do czynnej roli publicznej i ze wszystkich warstw najlepsze siły zaopatrują kierowniczą, przodującą grupę społeczeństwa. Równocześnie duży zasób świadomości i woli zbiorowej stał się w biegu historji własnością ogółu jednostek w formie instynktów, tradycyjnych wyobrażeń, umiłowań oraz wspólnych mitów czy nawet świadomych dążeń.

W związku z tym procesem oraz przy okazji przewrotów politycznych, w których chodziło o praktyczno-polityczny cel wywrócenia tradycyjnej instytucji, przypisano doraźnym objawom woli ogółu, objawom ubranym w nowoczesną formę powszechnych aktów wyborczych, rolę całkowitego oraz ostatecznego wypowiedzenia się woli zbiorowej, czyli zarazem objawu świadomości i woli historycznej. Teorja taka, potrzebna dla celu obalenia monarchji i wygodna przy systemie tajnych związków, nie stała się dzięki tym zaletom zgodną z rzeczywistością, w której nie zaszły naprawdę zasadnicze zmiany tworzenia się woli historycznej narodów.

W społeczeństwach najwyższej nawet cywilizacji, wola ogółu, wyrażona w doraźnym akcie wyborczym, pozostaje zawsze czynnikiem ubocznym, względnie wtórnym i nie identycznym z procesem formowania się woli historycznej. Ta ostatnia znajdzie zawsze wyraz swego istnienia o strukturze odmiennej: objawi tendencje podporządkowywania, dyscyplinowania, narzucania. Jej odpowiednikiem będą instytucje, albo, zależnie od ustroju państwa, tylko organizacje, natury hierarchicznej i oligarchicznej.

Jednostronny i oparty na fałszu będzie każdy ustrój współczesny, który nie uwzględni obu czynników objawiania się woli zbiorowej i o ile nie ustawi ich we właściwym stosunku wzajemnym oraz hierarchji: inicjatorskiego czynnika woli historycznej na stanowisku kierowniczem i rządzącem, oraz reagującego czynnika woli doraźnej, jako elementu przeciwwagi i równowagi, jako sprawdzianu mocy i możliwych źródeł odświeżenia. Im młodszy naród, im mniej oparty na dośrodkowych instynktach ogółu swojej ludności, im bardziej podminowany dążeniami obcych i tajnych interesów, tem potrzebniejsza jest mu instytucja o zagwarantowanem prawie reprezentowania woli historycznej narodu, tem ważniejsza prawna gwarancja, że wola ta dojdzie do głosu i ujawni się we władzy państwowej, jako jej prawy, naturalny podmiot.

ZDZISŁAW STAHL

SKUTKI SPADKU FUNTA

PRZYCZYNY spadku funta są zbyt znane. Były omawiane już wielokrotnie. Kiedy stało się faktem to, co dawno dało się przewidzieć, bez porównania bardziej aktualną jest kwestja, jakie będą najbliższe tego konsekwencje.

Najpierw jeżeli chodzi o wpływ na handel zagraniczny.

Między komentarzami pism angielskich, które skądinąd nie mają się z czego cieszyć, uderza jeden motyw, ciągle powtarzający się. Nadzieja, że spadek funta będzie miał taki skutek, jaki obserwowano już w wielu państwach, które przeszły okres inflacji. Obniży ceny wewnętrze, a zatem i koszty produkcji towaru. Wpłynie więc dodatnio na bilans handlowy. Anglja stanie się zdolniejszą do wywożenia. Zato mniej zdolną do kupowania, bo towary zagraniczne będą teraz dla anglików droższe.

W ten sposób niektórzy optymiści dochodzą do tego, że prawie wychwalają dobrodziejstwa inflacji. Jest znanem zjawiskiem, że kraje, które zeszły na te niebezpieczne drogi, jakby jakieś statki rozbite i pozbawione steru, mogą wywołać zamieszanie wśród społeczności państw, pozostających przy normalnych metodach finansowych. Nie gdzieindziej jak w Anglji właśnie słyszało się ostatnio wiele o bandytyzmie handlowym i nielojalnej konkurencji ze strony państw o walucie t. zw. „słabszej". Tak długo, aż z kolei i Wielkiej Brytanji było sądzone zaliczyć się do tego złego towarzystwa. W ten sposób, wpadając w drugą ostateczność, zaczynają tam rozpawiać nad czemś, co najwłaściwiej trzebaby nazwać d u m p i n g i e m a n g i e l s k i m. Trudno sobie wyobrazić bardziej paradoksalny obrót wypadków.

Abstrahując od tego, że w obecnych czasach każdy może sobie wymyślać i bronić takich systemów finansowych i gospodarczych, jakie mu się podobają i zawsze znajdzie zwolenników i entuzjastów (w ten sposób np. sławny J. M. Keynes zrobił z siebie dla rozmaitości obrońcę i propagatora inflacji), nie ma żadnych wątpliwości, że te nadzieje są zupełnie usprawiedliwione.

Jak wiadomo, jest to klasyczny objaw zubożenia kraju, który nie może już żyć z kapitału, musi obniżać swe wymagania, pracować — i ofiarowywać swe usługi taniej. Obniżenie wartości funta odbije się jednak najwięcej na imporcie.

Ponieważ zarobki i dochody, wyrażone w funtach, nie wzrosną, zatem, wobec tego, że funt stracił około 20% wartości, zmniejszą się o 20%. Ceny zaś towarów, wwożonych do Anglji, nie ulegną zmianie, czyli, w stosunku do zarobków i dochodów, wyrażonych w funtach, wzrosną o 20%.

Trzeba się liczyć zatem ze zmniejszeniem się pojemności rynku angielskiego.

Jeżeli tak, kto będzie tu na czele poszkodowanych?

Przedewszystkiem Francja i Niemcy.

Niemcy są typem państwa, żyjącego z kredytu, które może związać z sobą końce swego bilansu płatniczego tylko przez zmniejszenie importu, a zwiększenie eksportu. Ponieważ Anglja jest ich największym klijentem, obniżenie importu angielskiego trafia je w sposób dotkliwy. Położenie ich jest tem trudniejsze, że nie mają one żadnych kapitałów, ani w kraju, ani inwestowanych zagranicą. Są typem klasycznym państwa, które musi mieć bilans handlowy dodatni, bo jego deficytu nie zrównoważy ani wpływami (odsetkami i ratami amortyzacyjnemi) z własnych lokat zagranicą, ani dochodami z floty handlowej.

Obniżenie kursu funta jest dla Niemiec nowem niebezpieczeństwem, z którego wyjścia nie widać.

Chyba jedno: naśladowanie Anglji, obniżenie kursu marki.

Dewaluacja funta nie jest też niczem dobrem dla Francji.

Tam zaczęły się pojawiać objawy, jakie zachodzą w krajach bogacących się: podniesienie dobrobytu, większa łatwość zarobku, wywołują zwyżkę cen, czyli kosztów produkcji. Od dwu lat we Francji daje się zaobserwować zwiększenie tych kosztów. To nie może pozostać bez wpływu na wywóz, tembardziej, kiedy na wszystkich rynkach następuje znaczne zubożenie. Jeszcze w roku 1929 nastąpił przełom francuskiego bilansu handlowego, który od tego czasu jest stale ujemny. Jeżeli zrobilibyśmy wykres, uderzyłyby nas ogromne rozwarte nożyce pomiędzy linją importu, wspinającą się stromo w górę, a linją eksportu, spadającego w dół. Szczególnie rok 1931 przynosi znaczne zaakcentowanie tego rozchylenia. Są to rzeczy, które nie rzucają się coprawda w oczy z dnia na dzień. Ale to jest fakt pierwszorzędnej wagi, ilustrujący niedogodną sytuację państw bogatych w otoczeniu ubogich. Stany Zjednoczone zrobiły już z tem ciężkie doświadczenie.

Francja ma coprawda dużo kapitałów w kraju, ale stosunkowo mało lokat zagranicą. Zwłaszcza mało dobrych lokat.

Zasadniczo należy ją więc zaliczyć do tego typu krajów, które nie lubią ujemnego bilansu handlowego: w dużym stopniu (choć nie tak dużym, jak w Niemczech) pokrywa się on z bilansem płatniczym.

Jeżeli już upadek siły kupna Niemiec godzi w jej interesy, to jeszcze gorszy dla niej jest spadek wartości funta.

Jeżeliby Niemcy uległy potężnej pokusie, płynącej z przykładu angielskiego, byłby to dalszy

rozwój wypadków, niepomyślnych dla handlu francuskiego.

Tu szukać trzeba wyjaśnień, dlaczego Francja z taką łatwością zgodziła się na dwukrotne ratowanie funta angielskiego. Wiadomo nawet oficjalnie, że w przeddzień zawieszenia przez Anglję wypłat w złocie, rząd francuski ofiarował jeszcze dalszą pomoc. Widocznie zależało mu specjalnie na podtrzymaniu kursu funta. Mianowicie w celu obrony swojego bilansu handlowego.

Niemniej rząd brytyjski uważał za lepsze nie korzystać z tej propozycji.

Dlaczego? Widział zapewne, iż na tej drodze nie dojdzie się do niczego. Ale, być może, wpłynęły tu jeszcze dalsze motywy.

Niepotrzeba tu wywodzić, że zawieszenie wypłat w złocie musiało za sobą pociągnąć obniżenie kursu funta i że każdy musiał sobie z tego zdawać sprawę. Trudno obronić się myśli, że to świadome obniżenie kursu funta było nietylko świadome, ale i celowe. Może o tem nikt nie powiedział głośno. Ale może też był to jeden z takich kroków, gdzie ludzie rozumieją się nawet bez otwartego wyjawienia swoich intencyj. Na tej drodze znalazła Anglja chwilową ulgę w tych wszystkich trudnościach, których inaczej nie potrafiłby chyba rozwiązać.

Głosy prasy, przedewszystkiem prasy popularnej, o charakterze „kurjerkowym", która w Anglji jest mniej lub więcej zbliżona do konserwatystów, bardzo energicznie i w sposób znamienny kładą nacisk na tym „impulsie dla brytyjskiego handlu i wytwórczości".

Reasumując, jest to ta strona problemu, na którą trzeba zwrócić największą uwagę, jeżeli chodzi o bezpośrednią przyszłość.

* * *

Obecna chwila jest dla Wielkiej Brytanji przełomowa. To zatem, jak się ułoży teraz sytuacja polityczna, ma zasadnicze znaczenie. Zwłaszcza jeżeli chodzi o ewolucję programów stronnictw.

Wiadomo ogólnie, że wśród konserwatystów w ciągu ostatnich dwu lat rozwinęła się bardzo agitacja za ochroną celną. Było tam kilka kierunków. Najradykalniejszy, w „*Empire Crusade*" (Krucjata Imperjalna), żądający unji celnej Imperjum Brytyjskiego, które byłoby otoczone murem ceł prohibicyjnych. Na czele „krucjaty" stoi znany król prasowy, Lord Beaverbrook, jego to lejb organy, „*Daily Express*" i „*Evening Standard*" zużywają swe siły na aż zbyt głośne wychwalanie dobrodziejstw nowej polityki finansowej.

„*Empire Crusade*" była przez dłuższy czas w walce z Baldwinem, ale niedawno nastąpiło pogodzenie. Baldwin w zasadzie przyjął szereg postulatów Beaverbroka, między innemi cła ochronne na artykuły żywnościowe, co było do niedawna rzeczą wprost nie do pomyślenia w Anglji.

Skoro przyjdzie teraz do wyborów, to niewątpliwie rozegrają się one około ceł ochonnych.

Protekcjonizm zyskał jednak już tak wiele wśród opinji angielskiej, że przy wyborach w praktyce walczyłyby już nie system wolnego handlu z systemem ochrony, ale raczej poszczególne zapatrywania na ochronę celną. Bo nawet *Labour Party*, do niedawna uparcie i niewiadomo dlaczego trzymająca się zasad wolnego handlu, musiałaby dopuścić szereg ceł (z wyjątkiem tylko ceł od importu żywności).

Ale w takiem położeniu resztki liberałów zostałyby zatopione, wraz z pozostałościami teoryj wolnohandlowych. Trzon liberałów trwa bowiem przy zasadach integralnego cobdenizmu.

Liberalna „*News Chronicle*" publikuje ostatnio manifest Lloyd George'a, który ogłasza, że ochrona celna jest absurdem, że on pozostaje wolnohandlowcem, jak był przedtem, a z nim partja liberalna.

Wykazuje dalej bardzo dobrą orjentację, podnosząc na końcu, że jakkolwiekbyśmy się zapatrywali na kwestję ochrony celnej, obecnie straciła ona na aktualności. Jeżeli mamy teraz ułatwienia, jakie dla produkcji i wywozu wynikają z obniżki funta, to poco cła? Są one teraz zupełnie niepotrzebne. Ten punkt widzenia jest nie pozbawiony słuszności. Lloyd George chciał był odroczenia wyborów popierwsze dlatego, że obawiał się utracić znowu z połowę z pozostałych 60 mandatów, podrugie dlatego, że wie, iż teraz, po pewnym czasie, hasło ochrony celnej stanie się mniej pociągające. Jest oczywiste, że dewaluacja funta będzie miała podobne skutki jak wprowadzenie ceł. Rozumiał on jednak, że trzeba, ażeby świadomość tego została wykazana wyborcom doświadczalnie, a na to trzeba mu było paru miesięcy.

Zatem kurs funta, bilansy handlowe i wreszcie sprawa wyborów — to są rzeczy, na które mamy teraz zwracać uwagę wśród wiadomości bieżących, jeżeli idzie o Anglję.

AD. B.

WOJNA Z CHAMEM

PRZED rokiem w Zakopanem rozpoczął się i dotychczas trwa publicznie prowadzony spór o to, w jakim stylu ma się budować Zakopane — w zakopiańskim, czy na modę nowoczesną. Sama sprawa sięga czasów dawniejszych, ale przed rokiem rozgorzała mocniej i jaśniej z powodu zamierzonej budowy ratusza w naszej gór stolicy. Od sporu o ratusz zajęła się ogniem sprawa budownictwa Zakopanego, od niego — sprawa całego Podhala, a od Podhala — całej Polski. I słusznie, albowiem niema kąta w Polsce, gdzieby nowa moda budownictwa nie narzucała się ludności sposobem przemocy i nakazu, gdzieby nie rozpierała się po chamsku z ujmą dla krajobrazu, otoczenia, kultury i rozsądku samego. Z tego powodu, zabierając głos w sprawie Zakopanego, pragnę przedewszystkiem dać jej tło ogólne, tło, którego ramy nawet poza Polskę wybiegną. Sądzę, że tylko na takiem tle ustawiona sprawa miejscowa odsłoni właściwe swoje oblicze i nabierze wagi wbrew tym, którzy ją zlekceważyć, a tem samem — pogrzebać usiłują.

Spór zakopiański, jak wspomniałem, formalnie krąży dokoła zamierzonej budowy ratusza w Zakopanem, a wyraził się w różnych przemówieniach — urzędowych i nieurzędowych, w uchwałach różnych stowarzyszeń podhalańskich, w wystąpieniach Rady miejskiej i Urzędu budowlanego, a wreszcie wybuchnął w postaci polemiki na łamach tygodnika „Zakopane". Obecnie zaś na pół-

kach księgarskich ukazała się tej sprawie poświęcona broszura p. Jana Gwalberta Pawlikowskiego p. t. „O styl Zakopiański w budownictwie Zakopanego i Podhala“. Broszura ta jest samoistną odbitką z IX rocznika czasopisma „Wierchy“, wydaną nakładem Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Na pięćdziesięciu sześciu stronicach, obrazując przedmiot rozważań dwudziestoma ośmioma fotografjami, znakomity pisarz w sposób jasny i wyczerpujący sprawę omawia, a nadto uzupełnia ją ankietą, przez „Wierchy“ rozpisaną, w której wypowiedziało się piętnastu z całej Polski architektów i tym sposobem rzecz niemal wszechstronnie i z dalszych perspektyw oświetliło. Sprawa nie została ani pogrzebana, ani zakończona. Można rzec, że teraz dopiero, od tej ankiety i od tej broszury poczynając, sprawa ratusza zakopiańskiego, Zakopanego i Podhala — w ich budownictwie — wchodzi na teren sobie przynależny.

Odsyłam łaskawych czytelników do broszury p. Pawlikowskiego. Uważam wręcz, że nabycie jej jest obowiązkiem każdego, kto czuje się za kulturę kraju i narodu odpowiedzialny. Nawet ankieta (przedsięwzięcie zazwyczaj oschłe) pulsuje tu życiem, a jedna z jej odpowiedzi, mianowicie p. Henryka Jasieńskiego, architekta z Krakowa, sama w sobie stanowi świetną, odręcznemi rysunkami zdobioną, rozprawę architektoniczną (rysunków tych nie wliczałem do podanej wyżej ilości 28 fotografij broszury). Jakkolwiek szczupła rozmiarami, książeczka ta (ładnie wydana) stanowi żywy punkt wyjścia do zrozumienia przebiegu rysy, która przed pochodem kultury ludzkiej niebezpieczną przepaść otwiera. Spór miejscowy jest tu zwierciadłem wielkiego sporu, sporu o cechach i rozmiarach wojny powszechnej. Architektura Podhala staje się tu wyrazicielką losów całej architektury polskiej, ta zaś — sztuki wogóle, a sztuka — symbolem losów kultury.

W dymach wojny światowej i z krwawych bagien rewolucji rosyjskiej rozległ się okrzyk ostrzegawczy: „Wielki Cham idzie!...“, a dziś już jego obecność w każdym kraju i w każdej życia dziedzinie staje się coraz widoczniejsza i coraz dokuczliwsza. Wszędzie nad miarę miejsca zajmuje i wszędzie dokucza — to są dwie pierwsze, że tak je nazwę, cechy „towarzyskie“ każdego chama. Wielki Cham posiada je, oczywiście, w stopniu odpowiednio wielkim. Przymiotnik, jaki słusznie dzisiaj otrzymał, oznacza tu jego zorganizowaną zbiorowość i świadome celu kierownictwo, któremu posłusznie ulega. Każda epoka i każdy naród wytwarza, jako odpadki rasy i społeczności, pewną ilość chamów, a to we wszystkich sferach społecznych — od chłopa do magnata. Lecz pozostają one zazwyczaj odpadkami, po kątach i więzieniach pochowanemi. Zdarzają się jednak czasem okoliczności wyjątkowe, które chamów albo poszczególnych, albo w całej ich zbiorowości na czoło wypadków wynoszą, a wtedy bywa, że przyczepia się do nich przymiotnik „wielki“. Tak pośród chamów poszczególnych znamy z ostatnich stuleci Piotra Wielkiego, Katarzynę Wielką, Fryderyka Wielkiego. Przydomki te, bez domyślnego rzeczownika „cham“ w obu rodzajach, byłyby pozbawione sensu. A pośród ruchów zbiorowych w historji Europy znamy conajmniej cztery najwybitniejsze, w których chamstwo odegrało rolę rozstrzygającą. Są to: upadek kultury grecko-rzymskiej, Reformacja, Rewolucja francuska (nazwana „Wielką“ z domyślnikiem), oraz czas obecny, który możnaby oznaczyć nazwą Socjalkomunizmu. Cechę w nich wspólną i wysoce znamienną stanowi zjawisko, że na podłożu zdarzeń werdzennie przyczynowych i naturalnych, zjawia się żydowstwo, które bezpośrednio lub pośrednio przez odpowiednie doktryny ruchem kieruje i w znanym sobie celu do potworności i absurdu go doprowadza. Żydzi, lub duch żydowski pasorzytują na takich wypadkach zawsze jednym wypróbowanym sposobem: podburzają chamów poszczególnych, albo motłoch — czyli zbiorowiska chamów do pochwycenia władzy i do najgłupszego, najbardziej zbrodniczego jej sprawowania. A wtedy, już nawet bez współudziału, wszystko zdąża po jego myśli, to jest do osłabienia, wynaturzenia, rozbicia, zniszczenia kultury i ducha danego narodu.

Żyd, jako, że tak się wyrażę, „rasowy“ cham, a naród żydowski, jako jedyny cham wśród narodów świata, zawsze i wszędzie sprzymierza się z chamstwem. Jest to zjawisko tak od wieków stałe i niezmienne, że byłoby grubym ze strony myśli naukowej błędem zamykanie nań oczu i pomijanie go w jakichkolwiek, nawet cząstkowych, życia przejawach. Otóż i w obecnej, niemal powszechnej gorączce ludów, spowodowanej naturalnem i dobroczynnem przeobrażaniem się świata nowożytnego, w sposób dla każdego widoczny, a często — hałaśliwy i jaskrawy bierze udział naród żydowski, jednak nie w roli współprzeobraziciela, ale jako z motłochem i chamstwem sprzymierzony, nimi kierujący, złośliwy demagog, prowokator, lichwiarz i paser. Taką metodą opanowany albo zatruty, każdy ruch, sam przez się życiowy i dobry, zamienia się wkrótce w karykaturę i zbrodnię. Więc naprzykład: dążenie różnych odłamów ludu do dobrobytu, wyższych stopni kultury i wpływu na rządy jest rzeczą ze wszechmiar pożądaną, zatem... metoda na ich sztandarach wypisuje najgłupsze teorje, dogmaty i hasła, a na ich czoło, jako przewódców, wysuwa chamów, aby tym sposobem ruch w samem założeniu zgnił i rozlał się w cuchnące bagna „rewolucji nieustającej“. Albo: Duch ludzki w dziedzinie sztuki pożąda nowego wyrazu, męczy się, szuka, próbuje, zatem... metoda odrazu wynajduje najpoczwarniejszy absurd, ogłasza go za genjalny wyraz nowej sztuki, gromadzi dokoła niego stado grafo- pikto- i fonomanów, matołków, cyników i karjerowiczów, słowem — chamów, wysuwa ich na rynek, popiera ich i reklamuje, a skutek jest ten, że istotny ruch odrodzeńczy zostaje zagłuszony i wynaturzony. I tak dzieje się wszędzie — w polityce i sztuce, w szkolnictwie i nauce.

Na tem, pobieżnie tu naszkicowanem tle, rozwija się w naszych czasach każdy ruch i każdy zatarg poszczególny lub miejscowy. W każdym przeto wypadku obrońcy kultury i twórczości narodu na danym, by najmniejszym życia odcinku powinni w całej pełni uświadomić sobie tę prawdę, że dana sprawa, spór, zatarg nie są „regjonalne“ (to znaczy — miejscowe, lub dzielnicowe), ale należą do jednego wielkiego frontu wojny domowej, ta zaś wojna domowa nie jest dziś wyjątkową własnością Polski, ale objęła cały świat cywilizowany. Jest-to wojna z Wielkim Chamem i jego patryjarchatem. Z powodu gwałtownego, nowożytnego tempa, w jakiem najszersze warstwy wstępują w szranki wyższej kultury, zjawisku temu, które samo w sobie jest dobre, towarzyszy niesłychanie tłum-

ny nalot odpadków wszelkiego rodzaju — czyli chamstwa. Gromadzi się ono szczególnie w sferze niedopieczonej, surowej i grubej półinteligencji. Z powodu zaś przywilejów i wagi, jakich w wieku naszym nabrało międzynarodowe żydowstwo, uzyskało ono wielki wpływ na surowe warstwy robotnicze i półoświecone (komunizm, socjalizm, liberalizm i masonerja), oraz możność kierowania taką obfitością chamów, jaka wystarcza do obsadzenia wszystkich w społeczeństwie najważniejszych stanowisk. Polska w tem tylko swoiście się wyróżnia, że hoduje na sobie aż cztery miljony żydów i sobie oraz światu dostarcza co roku chmar inteligencji żydowskiej, w polskich średnich i wyższych uczelniach wykształconej. Ta właśnie szarańcza zżera kulturę Europy, a przedewszystkiem i najszybciej — naszą.

Po stronie patryjarchatu chamstwa (właściwie jest to... patryparchat) istnieje znakomicie zorganizowane, jedno na cały front kierownictwo. Ukryte, naturalnie, ale o jego istnieniu niezbicie świadczy godna podziwu, we wszystkich krajach i dziedzinach życia sharmonizowana jednolitość przedsięwzięć, poruszeń, taktyk, metod, doktryn, haseł, argumentów, rytmu, wzajemnych stosunków i pomocy. Nawet najlichszy tego stempla dzienniczek brukowy stanowi w wielkiej orkiestrze klawisz ściśle z hjerarchją dyrekcji ogólnej połączony. Tu niema przypadków. Patryjarchat jest wysoce muzykalny i czujny. Natomiast nazewnątrz i napozór bywa, że gdy sztab uzna za stosowne, wystawia się daną sprawę, jako cząstkową, prywatną, miejscową, „regjonalną", aby w ten sposób pomniejszyć i uśpić uwagę społeczeństwa, odosobnić rzecz, zabić ją deskami „dziury" prowincjonalnej i tem łatwiej ubić. Tego właśnie sposobu użyto w sporze zakopiańskim. Usiłowania przeto obrońców kultury polskiej, aby sprawa ta wśród myślącego ogółu całej Polski rozgłosu nabrała, są i taktycznie i strategicznie ze wszechmiar słuszne. Może to pójść tem łatwiej, że Zakopane posiada w Polsce stanowisko wyjątkowe, a Tatry z ich ludem stanowią znany wszystkim i wspaniały odłam literatury, poezji, malarstwa, zdobnictwa i architektury polskiej. A zresztą, spór dotyczy sztuki i potrąca o jej zasady, więc już przez to samo staje się sprawą w najszerszym promieniu publiczną.

Tu przechodzimy do bliższego tła przedmiotu, do architektury i jej przemian nowoczesnych na świecie i w Polsce. Jak do każdej dziedziny życia, tak i do budownictwa wtrącił się patryjarchat ze swojem Chamstwem, wyśledził tu nowe konieczności i nowe pragnienia, odrazu zacieśnił je, wyjaskrawił i do absurdu doprowadził, absurd ten za genjalny kanon nowego stylu ogłosił, chamów reklamą na czoło „nowej sztuki" ponawtykał, w urzędy uzbroił i na kraj puścił. W wielu miastach i okolicach Polski w zakresie budownictwa toczy się teraz ta sama wojna Chama z kulturą i kultury z Chamem z tą tylko różnicą, że nie tak głośna, jak w Zakopanem, lecz głównie czynami, czyli — gmachami znaczona. Przykładem — Warszawa, gdzie wznoszą się takie idjotyzmy nowoczesne, jak Bank Gospodarstwa Krajowego przy zbiegu Nowego Świata i Alei Jerozolimskiej, albo Muzeum Narodowe przy Alei 3 Maja, a równocześnie, jak przy ul. Myśliwieckiej, lub na okrainach stolicy, kolonje domków i domów o charakterze polskim, a w każdym razie gustownych i logicznych. Tu i ówdzie wyrasta również gmach nie liczący się z żadną tradycją, w duchu nowych a swoistych potrzeb pomyślany, ale dostojny i do wyrazu artystycznego zdążający. Ten ostatni rodzaj budowli, zresztą — bardzo nielicznych, stanowi właśnie ów zalążek nowej architektury, którą chamstwo absurdami swojemi w zarodku ma zniszczyć, potryjarchat bowiem tak same w stosunku do twórczego postępu, jak do tradycji twórczej jednaką pała nienawiścią. I tu i tam chodzi mu tylko o zniszczenie twórczości i ducha.

Ktoby zechciał porównać przebieg owej wojny architektonicznej w różnych miastach Polski, ten odnajdzie w niej znamienne i wymowne podobieństwa ze sprawą zakopiańską. Zaznaczmy główne. 1. Architektura, nawiązująca do tradycji, wszędzie pozostawiona jest na opiece sił prywatnych lub społecznych, a przez czynniki miarodajne w państwie — niedostrzegana. 2. Architektura nowa, ale rządząca się poczuciem logiki, kultury i piękna, związana zazwyczaj z gmachami o przeznaczeniu wyjątkowem i przeważnie olbrzymiemi, nie ma jeszcze pola do rozwoju, a przytem nie odznacza się chamstwem, co powoduje dla niej obojętność i niechęć „czynników". 3. Architektura absurdu nowoczesnego pcha się wszędzie, stosuje się do wszelkich przeznaczeń i staje się, niejako, stylem urzędowym, dobrze widzianym i popieranym. 4. Architekturę absurdu wszędzie z uniesieniem popiera i reklamuje żydostwo, a to w celu niszczenia (i z tej strony) tradycji, narodu, rodziny, kultury i twórczości.

Podhalańska grupa stowarzyszeń i ludzi, stających w obronie stylu zakopiańskiego, a w szczególności — Zakopanego przed brzydotą chamskiej międzynarodówki architektonicznej, widzi i ocenia ścisły związek sprawy swojej z tą ogólną, którą powyżej szkicowo omówiłem. Wynika to z wielu słów, zdań ubocznych i napomknień ankiety „Wierchów", oraz broszury p. J. G. Pawlikowskiego. Lecz zarazem wszelkie tego rodzaju wycieczki i łączności z wielką linją frontu wojennego ujmuje w formy tak łagodne i mgliste, że tem samem uniemożliwia sobie przejście do natarcia, poprzestając skromnie na stanowisku obronnem. Nie mam wiary w skuteczność takiej taktyki. Żeby jednak uwidocznić czytelnikowi zasadniczą tożsamość mojej podstawy strategicznej z podstawą grupy podhalańskiej, przytoczę tu z broszury omawianej zdanie, na które powołuje się p. Pawlikowski. Zdanie to dotyczy najogólniejszego, a dla wielu najdrażliwszego punktu, mianowicie — kierowniczego i złośliwego w tej wojnie udziału żydostwa międzynarodowego.

Autor broszury przytacza słowa niejakiego Emila Ludwiga, głośnego dziś pisarza berlińskiego: „Para starych bab i innych tajnych radców, swojszczyzna, sztuka ludowa i wszelaka woń ojczystej ziemi, nie zbałamucą nas już więcej". Otóż ten pan Ludwig jest żydem, przez światowe żydostwo wsławionym, a nazywa się Cohn. Wystarczy dobrze wczuć się w jego słowa, dla żydów sztandarowe, ażeby pojąć, z jakiej nienawiści i z jakiej świadomości celu powstały. Pogląd, cel i metody owego Cohna podziela całe żydostwo, co można setkami przytoczeń z literatury kryptożydowskiej udowodnić. Ten sam cel architektury chamskiej innemi słowami określa także Le Corbusier, również w broszusze przytaczamy: „Dom nie będzie już na-

dal tkwił korzeniami w ziemi i przyczyniał się do kultury rodziny i rasy". Czy można jaśniej powiedzieć, że architektura chamstwa nowoczesnego ma cele czysto polityczne i przeciwnarodowe, mianowicie — komunistyczne i żydowskie? Sądzę, że wobec tak szczerych wynurzeń niema powodu do oszczędzania przeciwników. Dlatego też bezpośrednio od tych założeń ogólnych przejdę do oceny stanowiska zakopiańskiego Urzędu budowlanego, głównego w Zakopanem obrońcy nowoczesnych brzydot architektonicznych.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

MISTERJA NAPOLEOŃSKIE

„A o godzinie północnej
Cesarz powstaje z mogiły"...

JESTEŚMY świadkami dość niezwykłego zjawiska, mianowicie odradzania się w powojennej Europie mitu napoleońskiego: „Cesarz" powstaje wciąż z mogiły, zmartwychwstaje w duszach ludzi dzisiejszych.

Nie dość było czterdziestu tysięcy książek, napisanych o Napoleonie, w których wypowiedzano, z rozmaitych, najsprzeczniejszych punktów widzenia, zdawałoby się wszystko, co można było o nim powiedzieć, gdy oto dzisiaj zaroiło się znowu od nich, z których niejedna dochodzi do wniosku, że dzieje jego są najmniej znane ze wszystkich dziejów. Poza tem książki te rodzą się z uczuć podziwu i uwielbienia dla osoby Napoleona. Nie mam tu na względzie historyków, specjalnie zajmujących się nim i jego epoką (jak np. Madelin, Lacour - Gayet, Lenôtre i t. p.), którzy wciąż coś nowego dorzucają do tych dziejów, chodzi mi o to, że po wielkiej wojnie Napoleon zaczął pociągać ku sobie pisarzy niefachowych: literatów, publicystów, poetów, a książki ich rozchodzą się szybko wśród licznych czytelników.

Po książce Ludwiga, którą przełożono na wiele języków, przyszła książka Dymitra Mereżkowskiego (obydwie wydane u nas bardzo okazale, a chociaż drogie, znajdują chętnych nabywców); świeżo wyszła książka znakomitego powieściopisarza, Rosny'ego starszego, p. t. „*Napoléon le Grand*", a księgarnie francuskie zapowiadają znowu inną rzecz o Napoleonie, innego świetnego pisarza, Abla Bonnard'a.

Tak częste zwroty w naszych czasach do postaci Napoleona chyba coś innego oznaczają, niż zwykłe grafomaństwo, jakiejś niezaspokojonej potrzebie psychiki dzisiejszego człowieka odpowiadają przecie?

Zważmy, iż dzieje się to w czasach, w których rozbrzmiewa od kilkunastu lat sława wojenna zwycięzców z ostatniej wojny, w których ciągle się mówi i pisze o „wielkich wodzach" („*les grands chefs*") oraz rozmaitych „budowniczych Europy", („*batisseurs de l'Europe*", jak powiada w swojej książce hr. Sforza), usiłujących zorganizować chaos powojenny i doprowadzić świat do równowagi.

Zdawałoby się, że ta ogromna ilość narzuconych uwadze powszechnej jednostek, wśród których nie brak było prawdziwie wybitnych (Clémenceau, Mussolini, Kemal Pasza i t. p.); że te wszelkie „przeznaczenia niezwykłe" („*destinées hos sèrie*" — jak się wyraża senator de Monzie), ci wielcy wojownicy, politycy, mężowie stanu, bohaterzy współcześni — mogli zadość uczynić naczelnej żądzy masy ludzkiej podziwiania ludzi i rzeczy wielkich, mogli wyczerpać jej entuzjazm w tej mierze, odpowiedzieć tęsknotom i nadziejom. A jednak to się nie stało! Za wielu było powołanych, a zamało wybranych! A może — wielkość tego wszystkiego, czem rzesze ludzkie mogły w naszej epoce zaspakajać swoją potrzebę podziwiania i wielbienia, nie osiągnęła tej miary, jaka daje ludziom pełnię zadowolenia oraz odpowiada ich wyobrażeniu o nieśmiertelności jednostek i wiekopomności czynów.

Nie to, nie to! — odzywa się głucho w głębinach dusz ludzkich, przepełnionych wiarą w niezwykłe przeznaczenie oraz posłannictwo dziejowe wybrańców losu. Stąd poczucie zawodu i niespokojne oglądanie się za tym „wybranym", „jedynym", niewątpliwie wielkim i nieśmiertelnym. I gdzież go mają poszukiwać dusze spragnione tego zjawiska? Przecież nie w Europie dzisiejszej, żyjącej prawdziwie „w stanie grzechu śmiertelnego", jak o Europie swego czasu wyrażał się O. Gratry? Czy może wśród jej „budowniczych", którzy od ustania huku dział i szczęku oręża, usiłują ją uporządkować i wyrwać z chaosu, a raczej wpędzają w inny, większy jeszcze chaos, grożący ludzkości katastrofą niebywałą? Czy wśród „augurów" Ligi Narodów, wśród jej dyplomatów, obalających, w pocie czoła, to, co wynik krwawego dramatu jako tako zarysował? Co tu w tem wszystkiem tchnie wielkością i potęgą ducha? Tu nawet zbrodnie dokonywane, matactwa i szantaże codzienne, pozbawione są wielkości cynizmu — odsłaniają małość i niemoc ludzką!

Więc nie dziw, że wielkości i potęgi ducha szukają ludzie gdzieindziej, że wzrok ludzki zwraca się nieraz ku tym, którzy byli na ziemi wcieleniem istotnego genjuszu władzy nad światem: i tak dochodzi się do Napoleona... W tych czasach przewagi ilości nad jakością, w czasach szalbierczego oportunizmu i powszechnego zakłamania się, powtarza się to, co już nieraz zachodziło w stosunku do niego.

Posłuchajmy, co mówi o nim Mickiewicz. „Napoleon — czytamy w „Wykładach" w *Collège de France* — wywarł niezmierny wpływ moralny na kraje słowiańskie, wpływ daleko większy od tego, jaki mogło wywrzeć jego działanie wojenne i polityczne... Osoba Napoleona była siłą, odpierającą wiek poprzedni. Zebrał on w siebie całą moc, wielkość i potęgę tego wieku, ale zarazem zniszczył, co tylko tu fałsz i przypadek dorzucił. Główną wadą w. XVIII-go była niepowściągniona niczem płochość, z jaką chciano wszystko sobie wytłumaczyć i wyrozumować. Dla ludzi ówczesnych nie było już tajemnicy. Na wykład każdego zjawiska mieli gotowe systemy. Ale opatrzność wydała niepojętego człowieka, przed którym i potęga inteligencji musiała uklęknąć. Pytano się, nie mogąc znaleźć odpowiedzi, skąd się wziął ten człowiek, co on chce zrobić, do czego dąży, jakie jego posłannictwo? Było to już tedy niezmiernem dobrodziejstwem dla ludzkości, zmusić ją do zastanowienia się, do rozmyślania nad czemkolwiek, postawić

jej przed oczy zjawisko, nie dające się wytłumaczyć. Napoleon przez swoje zwycięstwa, przez swoje prawodawstwo i przez nadzwyczajne talenta, wymógł gwałtem na ludziach XVIII w., niezdolnych już dziwić się niczemu, uczucie podziwienia". (Tom IV. Lekcja XXII).

Tego rodzaju „działanie" Napoleona na ludzi jego czasów, miało między innemi ten skutek, że zaczęto podziwiać samego obudziciela zdolności podziwu w świecie, dla którego nie istniała już żadna tajemnica. Podziwiali go nietylko wyznawcy, lecz i przeciwnicy (pani de Staël, Chateaubriand i t. p.), a on sam wkrótce stał się tajemnicą, istotą niepojętą. Podziwiano Napoleona, gdy żył, ale więcej jeszcze po jego zgonie, a w uczuciach ludzkich, jakie teraz budził, nie było już domieszki interesu przemijającego, jeno czyste uwielbienie i wielka tęsknota. Tak było w czasach dążności mesjanistycznych, istotnej wiary w ludzi opatrznościowych i namiętnego oczekiwania ich przyjścia.

A teraz poznajmy pogląd na osobę Napoleona jednego z wybitnych umysłów współczesnych, pisarza nieskłonnego do marzeń mesjanistycznych i entuzjazmu bezkrytycznego. Swoją książkę o Napoleonie zaczyna i kończy I. H. Rosny starszy, następującą charakterystyką ogólną: „Najwyższy artysta działania, z powodu nadzwyczajnego ustosunkowania marzenia i rzeczywistości; wyobraźnia zapalna aż do chimeryczności, w zgodzie z drobiazgowym zmysłem praktycznem, z koncepcją szeroką całości oraz wizją ostrą szczegółów; wojownik podszyty niezrównanym inscenizatorem („*metteur en scene*"), zdumiewającym psychologiem tłumów. Kalkulator, przewidujący wszystko; mówca wojenny, który kilkoma zdaniami przekształca swoje wojska i swoje zwycięstwa; wspaniały porywacz („*entraineur*"), który przemienia baśń w zdarzenia, a zdarzenia w baśń, Napoleon Bonaparte jest postacią najbardziej oryginalną i najbardziej złożoną, jaka kiedykolwiek istniała wśród tych, co kierują ludźmi" („*Napoléon le Grand*" Éditions des Portiques 1931 r.). Słowem, że i dzisiejsi ludzie potrafią stać „w osłupieniu", jak i dawniejsi, wobec olbrzymiej postaci Korsykanina. I. H. Rosny szczerze wyznaje, że byłoby rzeczą anormalną, nawet gdyby się go osądzało jako istotę złowrogą, nie podziwiać człowieka, obdarzonego takim genjuszem. Znakomity pisarz nietylko go podziwia, lecz i usprawiedliwia, a nawet błogosławi jego przyjście.

„Przekładał sobie drogę — powiada — po przez motłoch cuchnący, który nie zasługiwał na żaden szacunek"... On ich wszystkich (ówczesnych rewolucyjnych „bohaterów"), wystrychnął na dudków, no i było to „chlebem błogosławionym", jak się Rosny wyraża.

Tak podziwia Napoleona człowiek, który wpatruje się w jego postać rzeczywistą, nie zaś legandarną, o której już Chateaubriand powiadał, że zapanowała w duszy ogółu nad rzeczywistą. Ale i dzisiaj nie brak takich wielbicieli, co idą śladami legendy napoleońskiej, tylko już ona nie wygląda tak prosto i naiwnie, jak za czasów Beranger'a, i nie składa się z urojeń poetów, z gawęd żołnierskich i z opowieści ludu. Jest to już nie legenda lecz jakaś Apokalipsa napoleońska.

Podobno, już na wyspie św. Heleny, Napoleon miał się odezwać w wieszczem przeczuciu: „Przypomną sobie o mnie, gdy rosyjscy barbarzyńcy zapanują nad Europą"... i przepowiadał, że będą go „opłakiwać krwawemi łzami". Otóż znaleźli się dzisiaj tacy, co go nietylko przypomnieli sobie, opłakując „krwawemi łzami", lecz i przywołują jego ducha, by chronił Europę, właśnie przed groźbą barbarzyństwa, przed bolszewizmem rosyjskim. Dziwnem zrządzeniem losu, tym namiętnym przywoływaczem ducha Cesarza jest Rosjanin, znany powszechnie pisarz, Dymitr Mereżkowski [1]).

...„Dzisiaj widzą Rosjanie coś — powiada Mereżkowski—czego Europejczycy nie widzą: straszliwie wysoko ponad nami — według wysokości tej możemy osądzić, jak nisko upadliśmy, w jaką przepaść się stoczyliśmy — straszliwie tedy wysoko nad nami, na górach Zachodu, widzimy jeźdźca, którego sylweta ostro odcina się od tła nieba, czerwonego od łuny pożaru. Któż to jest? Jakże możnaby go nie poznać! „Ma na głowie trójgraniasty kapelusz i szary mundur żołnierski". Jedzie stępa, spogląda ku wschodowi, w ręku trzyma obnażoną szpadę i czuwa. Czegóż strzeże i przed kim? Europejczycy tego nie wiedzą — Rosja wie: strzeże świętej Europy przed czerwonym szatanem"...

A więc—jest to jeździec z Apokalipsy! Wizja ta jest w zgodzie z tradycją rosyjską. Tylko niegdyś Napoleon uchodził w oczach Rosjan za Antychrysta, był „bestją" z objawienia św. Jana (jak dla poety Dierżawina), lud rosyjski miał go za czarownika, za coś, słowem, co przypominało „czerwonego szatana",—dzisiaj natomiast, staje się tego z przeciwieństwem, chroni świat cywilizacji europejskiej przed bestją apokaliptyczną. Tego rodzaju misję wyznacza mu dzisiaj pisarz rosyjski, najpewniej pod wpływem klęski, jaka spadła na jego ojczyznę.

(Dok. n.) WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

[1]) „Napoleon". Wydanie nakładem księgarni Trzaska, Ewert i Michalski. Warszawa 1931 r. i książka pełna niezwykłych zalet literackich, niewolna od przesady i wniosków ryzykownych, obfitująca jednak w oryginalne, pobudzające myśl czytelnika, oświetlenia przedziwnego żywota Napoleona

CISZY LASU...

Dzień się już żegna, kona na wietrze,
Za lasem kroczy w górach uśpionych —
I tylko szumią i tylko marzą
Sędziwe dęby i klony.

Kwiaty upiły się swym zapachem,
Trawy posnęły, ucichły liście —
Tylko się słowik otoczył pieśnią,
Tylko świerszcz brzęczy srebrzyście.

Strzelistych sosen bujne korony
Nad lasem spięły czujne milczenie —
Tylko na toni zielonej wody
Czuwają duchy drzew: — cienie.

Giną w ciemności leśne fijołki,
Toną modrzewie, przepadły wrzosy —
Tylko się bielą brzozy rozsiane,
Tylko się mienią łzy rosy.

— O ciszy lasu — weź mnie w ramiona,
Niech spłynie na mnie słodycz Twych nocy
— Gdy tylko dziki ptak gubi pióra,
Gdy tylko serce łomoce...

TEOFIL BERNARD SYGA

NA WIDOWNI

Przed 25 laty i dzisiaj. — Co to jest przesilenie moralne? — Niedorzeczność, jako ucieczka umysłów. — Brak wstydu. — Dyskusja polityczna o księżycu. — Utracony interes życia. — Co wtedy sąsiedzi?

KAŻDY publicysta chciałby robić wrażenie tem, co pisze, ale doprawdy ogarnęło mnie przerażenie, gdym zobaczył w „Polsce Zachodniej“, organie katowickim wojewody Grażyńskiego, na co zeszły dzisiaj ambicje publicystów. Czytamy:

— „Żal trzeba mieć do Kostka-Biernackiego, że p. Korfanty rzekomo tak tam zmaltretowany, wrócił z Brześcia bez krzty opamiętania się i bez odrobiny chęci poprawienia się. Czyżby doprawdy p. Korfanty chciał nadal cierpliwie i aż do skutku udowodnić, że jeden Brześć nie wystarczył jeszcze i że potrzebne są poprawiny?“.

Czytelnik polski, który między publicystami miewał Mickiewiczów i Prusów, przeciera oczy. Jednak ktoś to musiał pisać, co żyje, ma jakąś twarz i oczy, ściskają mu rękę znajomi, miał pewno rodziców, którzy go uczyli pisać i usiłowali wychować na człowieka. Jeżeli pomyślimy o poziomie, na którym winien się znajdować człowiek cywilizowany, powołany do kierowania opinją publiczną, to wyobraźnia blednie ze strachu, skąd ten człowiek leciał, zanim spadł na dno znikczemnienia. I że się nie zabił społecznie, owszem pisuje — i tak poufale wyraża się o dostojniku, żal ma nawet do niego.

Bolesław Prus brał udział w powstaniu 1863 r., ale doczekał się jeszcze jednego ruchu (1905), który podawano również za powstanie narodu polskiego. Dobrotliwy Prus napisał powieść na tle owych zdarzeń p. t. „Dzieci“. Tytuł pewno z bajki: „Dzieci, źle się bawicie“ . Bohater tej powieści, doktór Dębowski tak się wypowiedział o czasach:

— W r. 1794, 1812 i 1831 o wolność walczyła armja i to z wrogiem zewnętrznym. Ale o żadnych sztyletnikach, brauningistach, o żadnych wywłaszczeniach nie słyszano. W r. 1863 już nie było armji, tylko partyzantka, i zaczęli pokazywać się sztyletnicy, których nie przyjmowaliśmy do oddziałów. A dziś co?... Armji niema, nawet partyzantów... Za to mamy sztyletników, brauningistów, napaści na kasy i domy, mordowanie się rozmaitych partyj. Czy to nie skandal?

Tak, to był skandal. Ale w 25 lat potem Polska obchodziła galowy jubileusz tych zdarzeń. Prus nie mógł już pisać dalszego ciągu „Dzieci“, które przez ten czas podrosły i przezwyciężyły słaby odpór moralny społeczeństwa. O Prusie wiadomo, że „nie cały umarł“, on jest między nami, patrzy na to, co się dzieje. Aż dziwne, do jakiego stopnia ludzie wstyd utracili, że się nie krępują, gdy patrzy na nich sumienie narodu.

O Brześciu, jako o sanatorjum politycznem, mówi się teraz w prasie sanacyjnej często w celu przygotowania nastroju na czas procesu brzeskiego, ale mówi się w taki sposób, jakby proces już się odbył i wina ówczesnych więźniów była udowodniona (*Notabene* senator Korfanty nie objęty jest aktem oskarżenia). Organ urzędowy „sanacji“ „Gazeta Polska“ usiłuje narzucić społeczeństwu pogląd, że sanatorjum brzeskie uleczyło całą Polskę. Z powodu kryzysu walutowego w Anglji centralny ten organ sanacyjny utrzymuje bez zająknienia, że Brześć ocalił walutę polską:

„Gdzież bylibybyśmy dzisiaj, gdyby rząd marszałka Piłsudskiego rok temu władną i zdecydowaną ręką nie powstrzymał w zarodzie rokoszu, jaki zbuntowani „możnowładcy“ partyjni wszcząć usiłowali przeciw władzom Rzeczypospolitej w przededniu najgroźniejszej fali kryzysu gospodarczego?“

Nie śmiejmy się z tej tyrady, bo nie jest śmieszne to, co jest nieudolnie pozorowane naiwnością i „Gazeta Polska“ nie jest pismem humorystycznem. Raczej zapytajmy: czy przy tej postawie umysłowej i moralnej, jaką Polsce usiłuje nadać „sanacja“, możliwe jest utrzymanie się na drodze historycznej? Czy Polska tak załgana może być dla kogokolwiek i w swojem własnem poczuciu czemś prawdziwem? Nie jest bynajmniej śmieszną robota, obliczona na załganie się narodu.

Czytelnik mógłby mi zrobić zarzut, czemu zajmuję się podobnemi niedorzecznościami dziennikarskiemi. A ja go zapytałbym: więc nie zajmować się wogóle współczesnością polityczną? To, co piszą dzienniki, stanowi dokument systemu myślenia, narzucanego społeczeństwu. To samo powtarza każdy sanacyjny działacz, każdy pedagog. Taki jest dzisiejszy fason przepisowy umysłów. Przyszedł czas, że z tej strony nic już innego nie usłyszymy, jak niedorzeczność — i do tego świadomą niedorzeczność.

Przyszedł już taki czas, gdy człowiek działający może mówić tylko niedorzeczność, bo czyny jego świadczą zupełnie co innego, autorytet zaś potrzebny jest tylko na to, aby słowo miało kurs konwenansowy według parytetu z głupotą bezmyślnego motłochu.

Przytoczę przykład. W n-rze 43 pisałem o tem, że „sanacja“ daje osłonę grupie ludzi, propagującej niemiecki program polityczny na wschodzie i nadużywającej w tym celu kobieteryjnego hasła romantycznego „za waszą i naszą wolność“. Jest to kwestja niesłychanej wagi, domagająca się wyjaśnienia pod grozą utraty zaufania społeczeństwa do ludzi odpowiedzialnych, którzyby myśl polityczną w tym względzie konspirowali, choćby tylko jej nie rozumieli. Tymczasem sytuacja już jest taka, że na poruszone zagadnienia, tyczące bytu Polski, ludzie odpowiedzialni w „sanacji“ nie reagują: zdjęto z nich odpowiedzialność. Sami nie wiedzą, co będzie, nawet tego, co jutro im samym mówić i robić wypadnie. Więc dzieje się rzecz taka, że organ miarodajny „sanacji“ „Gazeta Polska“ zasłania się jakimś studentem, który na łamach pisma rządowego sprawę „wyjaśnia“ w ten sposób: „Myśl Narodowa“ nienawidzi romantyzmu, bo romantyzm związany jest z ideą „niepodległościową“. Włamywacz, którego pytano na sądzie, co robił w nocy w cudzym ogrodzie, odpowiedział, że pasjami lubi noce księżycowe. A gdy prokurator to kwestjonował, nastąpiła wisielcza odpowiedź, że prokurator nienawidzi romantyzmu, bo romantyzm to umiłowanie wolności.

Tak wygląda dzisiaj w Polsce powaga sprawy publicznej, w ten sposób porozumiewa się społeczeństwo ze sferami odpowiedzialnemi. Stanowisko organu sanacyjnego ma swój odpowiednik w Sejmie, w powadze posła Miedzińskiego, wyjaśniającego zamierzenia rządu. Kiedy Sejm się zbliżał, opinja narodowa pytała w swojej prasie:

— Kto?

Kto właściwie odpowiada za to, co się dzieje? Pytanie bez echa, bez odpowiedzi. Szukaj wiatru w polu. Raczej usłyszysz odpowiedź: A któż to py-

ta? Społeczeństwo? Nie liczymy się ze społeczeństwem — to naród idjotów.

Kiedy stosunki tak się ułożą, że strony nie mają do siebie zaufania, to wtedy „interes" się rozłazi — o tem wie każdy człowiek praktyczny, nie pytając filozofów. W wielkiej pogardzie musi być sam interes, skoro kwestja zaufania jest lekceważona. A że nikt obcy nie ma obowiązku więcej sobie ważyć naszego interesu, niż my sami, więc łatwo sobie wyobrazić, jak ten nasz interes przedstawia się innym. Staje się on wtedy dla sąsiadów szczególnie interesującym. Polska już miała w dziejach momenty, kiedy budziła u sąsiadów ciekawość swemi samobójczemi skłonnościami. Jest to jedyne usiłowanie, w którem można liczyć na pomoc sąsiadów.

W takich czasach marazm staje się tak ogólny, że opinja publiczna nie wierzy jawie, biorąc za sen, że np. taka Łotwa nie robi sobie żadnych ceremonij wobec sąsiada, a politycy wyrażają zdziwienie, jeśli ktoś w kraju ośmieli się czemukolwiek dziwić. W takich czasach — rzecz szczególna — najbujniej kwitną pomysły zbawiania świata w imię hasła „za waszą i naszą wolność", właśnie wtedy gdy własna jest niedoceniana.

Najgłębszy to kryzys istnienia, gdy ono przestaje się samo sobą interesować z braku zaufania do siebie.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

PAN KIPA JEDZIE DO HAMBURGA

W OSTATNIM komunikacie M. S. Z. o zmianach personalnych *recte* „czystce" w tej ciągle puryfikującej się instytucji — obok mniej interesejących redukcyj i awansów w rodzaju przeniesienia sympatycznego p. Benisa na kuracyjną placówkę kairską — znajdujemy — *in cauda venenum* — nominację p. Emila Kipy na konsula w Hamburgu.

Nominacja ta nie jest ani tak prosta, ani tak niewinna, jakby na pierwszy rzut oka się wydawało, a to dla dwóch następujących powodów:

1) P. Emil Kipa — jak to swojego czasu podnosiła prasa polska — nie tylko jest skromnym urzędnikiem ministerjalnym, ale także — co dużo ważniejsza — wysokim dygnitarzem masońskim. Wiadomo bowiem, że masoński kalendarz Dalena za rok 1930 podaje jego nazwisko jako delegata grupy polskiej do „Ogólnej Ligi Wolnomularskiej" (*Universala Framssona Liga*), założonej jeszcze przed wojną.

2) Hamburg ze swojej strony nie jest także zwykłem sobie miastem portowem, ale siedzibą najstarszej oficjalnej (wielkiej) loży niemieckiej, od której zależy cały szereg lóż innych (nawet na drugiej półkuli), nie licząc wpływowych już w stuleciu XVIII-tem politycznych lóż czysto żydowskich. Nie należy zapominać, że w loży hamburskiej (*Absalom*) inicjowany był właśnie Fryderyk „Wielki", a — w dwieście blisko lat później — pielęgnujący wolnomularskie tradycje swoje Hamburg urządził — jak donosił nie pozbawiony kontaktu ze sferami masońskiemi krakowski „Przegląd Współczesny" — gotującemu się właśnie do objęcia prezydentury Callesowi (od Wielkiej Loży w Hamburgu zależy wszakże jedna z głównych lóż meksykańskich) pełne niebywałego przepychu przyjęcie.

To też wyjazd wysokiego dygnitarza polskiej masonerji, przedstawiciela instytucji międzynarodowej, która zaleca „planowe popieranie wszelkich usiłowań, służących braterstwu ludów" na placówkę hamburską, w momencie gdy nowe wszczynają się spory o „korytarz" pomorski, *lässt tief blicken.*

NAUKA I LITERATURA

KSIĄŻKA O CYWILIZATORZE POLSKI

KIEDY za stołem u sędziego Soplicy, pan Podkomorzy piorunował na paniczyków, co po pobycie w obcych krajach wtargnęli „hordą gorszą od Nogajów", wnosząc zmieszane bezładnie najrozmaitsze nowości, począwszy od toaletowych, skończywszy na ideowych — nasza sympatja odruchowa jest po jego stronie, po stronie kontuszowej. Ale kiedy zastanowimy się nad tem uważniej, możemy pomyśleć, że ten arogancki i śmieszny snobizm był ceną za coś godziwego. Wszak między temi paniczykami wyperuczonemi byli ludzie, jak Adam Czartoryski, późniejszy gen. ziem podolskich, komendant Szkoły Rycerskiej, komisarz Edukacji Narodowej — ludzie, co Polskę rozbrojoną, sprywaciałą i zacofaną, europeizować chcieli, dociągnąć do poziomu tej Europy, co się naokół, pod rządami absolutnych i odważnych monarchów, nietylko oświecała i reorganizowała, lecz i — na naszą szkodę — zbroiła.

Postać Adama Czartoryskiego uzyskała dokładne i wszechstronne oświetlenie w niedawno wydanej monografji p. Mieczysławy Miterzanki; niestrudzonego cywilizatora Polski widzimy na tle nowowyzyskanych źródeł, na tle jego olbrzymiej korespondencji z uczonymi, wojskowymi, księgarzami zagranicą i w kraju[1]). Syn nietylko możnych, lecz i wysoce światłych rodziców, Augusta i Zofji z Sieniawskich, przebywszy kilka lat w Anglji, pragnie „owoce zagraniczne" wszczepiać „w stary pień narodowy dla ulepszenia soków, bez zatracenia ich narodowości", i całe długie życie oddaje na realizację tego programu. W r. 1765 staje na czele Szkoły Rycerskiej i przewodzi jej aż do chwili, w której Targowica zażąda od niego przysięgi. Tego rodzaju akademje wojskowe powstawały podówczas naokół, potrzeba jej i u nas była głęboko odczuta przez światłą opinję publiczną. Jako komendant jej, nie jest Czartoryski malowanym oficerem, owszem posiada nietylko pewną namiętność do wojskowości, lecz i rozległe studja wojskowe, wciąż uzupełniane. Nie jest też malowanym wychowawcą, owszem bierze, z wyjątkiem niektórych lat, czynny i bliski udział w życiu szkoły, jest odkrywcą niektórych talentów, jak np. Niemcewicza. Nieustannie zabiega o nauczycieli i podręczniki, sam pisze swój piękny „Katechizm moralny" dla kadetów, który, nawiasem powiedziawszy, do dziś, ze swoim ideałem żołnierza i doskonałego dżentelmena, nie stracił ani uroku, ani wartości i powinien być rozpowszechniany i stać się pewnego rodzaju *vademecum* prawej i zdrowej młodzieży. Mając przed oczyma wzory, paryski, a głównie berliński, umie Czartoryski zachować w zakładzie polskim ducha narodowego, republikańskiego. Pragnie kadetów swych kształcić nie tylko, jak tam zagranicą, na dobrze wychowanych ludzi i wzorowych oficerów, lecz i na „czynnych obywateli" — a w tem idzie w ślady Konarskiego i jego *Collegium Nobilium*. Stara się powierzonej sobie młodzieży wpoić głęboko przekonanie, że „Duch miłości praw

[1]) Dr. Mieczysława Miterzanka. Działalność pedagogiczna Adama ks. Czartoryskiego, gen. ziem podolskich. Nakł. Naukowego Tow. Pedagog., Książnica Atlas, Warszawa — Lwów 1931. (Wygląd książki schludny).

i ojczyzny wolne państwa zakładał, twierdził, rozszerzał i potężył, Duch zaś szczególnych względów i interesu własnego osłabiał, rozrywał i niszczył"... Autorka daje dokładny obraz życia kadeckiego. Ciekawa jest próba oparcia wychowania obywatelskiego na samorządzie w formie „organizacji dekurjalnej", która jednakże dopiero pod koniec, w r. 1790, jak stwierdza autorka „pulsuje silnem tętnem", niestety było już bardzo późno...

Szkoła Rycerska nie była bez przygany, mianowicie wyrzucali niektórzy jej wychowankom pewne paniczykowstwo, zarozumiałość, kierunkowi jej zbytni kosmopolityzm. Z biegiem jednak lat, sam Czartoryski nabiera bardziej stanowczego przekonania o narodowej i wychowawczej wartości języka ojczystego i nadaje szkole więcej charakteru rodzimego.

Dając kadetom to hasło: „żebyście wy, płód nowy, odmienili starą postać kraju swojego i roznosząc po swojem województwie, ziemi, powiecie, światła z pilnością tutaj zebrane, oswobodzili ojczyznę od jarzma tych strasznych tyranów, Nieświadomości i Prezumpcji" (zarozumiałości) — stara się w swych podręcznikach moralności („K a t e c h i z m i e" i „D e f i n i c j a c h") od abstrakcyjnych raczej, powszechnych ideałów „dobrze wychowanego człowieka", przejść do konkretnych, specjalnie polskich zagadnień, np. do zagadnienia w d z i ę c z n o ś c i i jak ją pogodzić z sumieniem obywatelskiem.

Łatwo pojąć jak ważne i niejednokrotnie drastyczne było to zagadnienie w oligarchicznej Polsce, z chwilą, w której wyrabiać się zaczynała niezawisła, patrjotyczna świadomość obywatelska. Pamięć szkoły, z której wyszło pokolenie Kościuszków, Jasińskich, Niemcewiczów jest nierozerwalnie związana z nazwiskiem komendanta, który był nietylko wielmożnym jej firmantem, lecz rzeczywistym kierownikiem i współpracownikiem.

Jako komisarz Edukacji Narodowej sprowadza Czartoryski do Polski znanego fizjokratę Duponta, aby wraz z nim obmyślać poprawę stanu ludu rolnego, tej istotnej, jak to właśnie akcentują fizjokraci, podstawy bytu społecznego. Pracom Kom. E. N. przyświeca ideał narodu już w jego nowożytnem ujęciu, jako c a ł o ś c i społecznej, stawiają sobie pytanie: czy dotychczasowe wychowanie „zaszczepiło między ludźmi rozmaitej kondycji tę miłość i jedność, która utrzymuje naród w swoich powinnościach, łączy go ogniwem wspólnego dobra i sprawia mu zaszczyt i poszanowanie", (F. Bieliński), a dawszy sobie odpowiedź negatywną, wypracowują w duchu owego postulatu cały program oświaty. Czartoryski w dyskusji nad temi sprawami uzasadnia obowiązek państwowy opieki nad oświatą, a żądając jej dla wszystkich bez różnicy stanu, pragnie ją widzieć zróżniczkowaną odpowiednio do potrzeb warstwy społecznej. Kładzie nacisk na popularyzację hygjeny, wiadomości gospodarskie i praktyczne. Nie tak żywo, jak Krasicki w „P o d s t o l i m", odczuwając poddaństwo jako ujmę godności ludzkiej, jest Czartoryski, zarówno w teorji, jak i co ważniejsze, w praktyce, troskliwym opiekunem i przyjacielem ludu. Rozmyślając o wychowaniu młodzieży mieszczańskiej, proponuje Cz. przymus szkolny po miastach — będący, jak wiadomo, jeszcze w długie po nim lata solą w oku wszystkich zacofańców! Z natury rzeczy największej wagi przykłada do wychowania szlachty, jako warstwy, która broni i panuje. Młodzieńca szlacheckiego chciałby widzieć wychowanego fizycznie twardem życiem chłopa, ale główny nacisk kładzie na wychowanie moralne, mianowicie na te maksymy: „Umrzeć potrzeba, niewolnikiem być nie potrzeba" — oraz: „Kochaj poddanych twoich jak dzieci, za nich Bogu i Ojczyźnie odpowiesz". — Postępową społecznie jest tu myśl, ażeby przełamać uprzedzenie szlacheckie do zawodów mieszczańskich, owszem jest to potrzebne, „aby kraj nasz był ulepszony i uszczęśliwiony" Wolno zauważyć, że z takiemi myślami jesteśmy u kolebki typowo nowożytnej warstwy mieszczańsko - intigenckiej.

Autorka przedstawia zwycięski wysiłek Czartoryskiego celem uratowania dla K. E. N. przed roztrwonieniem pomiędzy niesumiennych dzierżawców i nowonabywców dóbr pojezuickich, któremi zawiadywały Komisje Rozdawnicze, Koronna i Litewska, pod Młodziejowskim, Massalskim, Ponińskim. W r. 1776 uchwała sejmowa oddaje dobra te pod wyłączny zarząd Kom. Eduk. Nar. — Interesująca jest wiadomość o staraniach Bazyljanów o przejęcie szkół pojezuickich. Argumentowali je oni względem narodowym, a mianowicie, że ludność ruska, nie chcąc dzieci swych posyłać do szkół rzym.-katolickich, wysyła je zagranicę do szkół rosyjskich, gdzie tracą one „miłość ku ojczyźnie"; gdy ujrzą wychowanie w rękach Zakonu obrządku wschodniego, zwrócą się ku niemu (1774). Natomiast część opinji publicznej województw ruskich skłaniała się do przeciwnej tezy, a mianowicie wywodzono, że wychowanie w ręku zakonników *ritus graeci* nie jest pożądane z powodu „bliskości granic wschodnich". (Coś analogicznego widzimy we współczesnym naszym sporze o wartość asymilacyjną obrządku rzymsko-słowiańskiego). Czartoryski skłaniał się do punktu widzenia bazyljańskiego, jednakże, wskutek rozbieżności opinij, sprawa zasadniczo rozstrzygnięta nie została, miały miejsce tylko poszczególne, nieliczne układy miejscowe z Bazyljanami, przyczem zawsze zastrzegano w składzie grona nauczycielskiego obecność księży rzymsko-katolickich (172 — 5)

W dalszym ciągu przedstawia autorka udział Czartoryskiego w Tow. Ksiąg Elementarnych, gdzie był inicjatorem wielu dziełek popularnych, zarówno oryginalnych, jak i tłumaczeń, a nadto sam się zabierał do przekładów i chrestomatyj, czego jednak, przy swych licznych zajęciach, nie dokończył Jako pisarz - wychowawca nie spuszcza Czartoryski z oka żadnej z aktualnych kwestyj. Czy to w sprawie pensyj, czy wychowania dziewcząt, czy w sprawie wojażów zagranicznych, które wówczas wyrosły na ważną kwestję, zabiera głos zawsze, łącząc postępowy pęd człowieka oświecenia, z praktycznym, konkretnym sposobem widzenia człowieka zdrowego rozsądku i patrjoty. Zajmuje się też reformą sądownictwa, domagając się wyższego naukowego wykształcenia dla palestry. Zna się na tem, bo jest marszałkiem Trybunału Litewskiego, gdzie odznacza się niezachwianą sprawiedliwością, dając jej przykłady w skazaniu własnego ojca na 6 tygodni wieży, a przyjaciela Sapiehy na 18 tygodni, a to za pokrzywdzenie drobnej szlachty. W każdej sprawie, do której zabiera się jaki czujny obywatel, umie zawsze „stwarzać kampanję na całej linji", zachęcić do polemiki cały szereg piór. Działa jako publicysta, jako komedjopisarz, jako inicjator w swej przeobfitej korespondencji z uczonymi, wychowawcami, księgarzami. Zajmuje się żywo rozwojem Uniwersytetu Wileńskiego już za czasów kuratorji swego syna. Miarą uczuć, jakiemi w swych dobrych poczynaniach był żywiony, niech służy zdarzenie, że chcąc nakłonić Jana Śniadeckiego do objęcia rektoratu wileńskiego (1805), na swoim zamku łańcuckim, rzuca się ten magnat i sędziwy człowiek na kolana przed Śniadeckim, zaklinając go, żeby się nie opierał. Po upadku państwa myśl tego „c h ł o d n e g o r a c j o n a l i s t y", kosmopolityzującego światowca sięga aż do samego zdrowego rdzenia narodowości i zostawia te piękne słowa: „Czas już pokonać obojej płci obojętność względem mowy i kształtów rodowitych. Przestała być Polska, lecz pierwiastkowa, nieprzemienna i nigdy wytępioną być nie mogąca krew... nie przestanie płynąć w żyłach naszych ciekiem niebrzebranym".

Młoda uczona, uczenica prof. Kota, sięgnęła w archiwach krajowych i zagranicznych do obfitych rękopiśmiennych, dotychczas nie wyzyskanych źródeł, przejrzała starannie literaturę pedagogiczną wieku, aby uzyskać pogłębione tło historyczne, dając pracę, którą rozszerza wiedzę o naszym wieku oświeconym, pracę o kompozycji przejrzystej, języku prostym, płynnym, uwieńczoną dyskretną a przemyślaną sylwetą niestrudzonego cywilizatora Polski

Sprawozdawcy zaś miło jest w tych czasach dziwnych zwrócić uwagę na książkę o mężu publicznym, który, przy niejajakich może słabostkach wielkopańskich i salonowych, był wzorem doskonałego dżentelmena i sprawiedliwego obywatela, miło cofnąć się wyobraźnią w czas śmieszny, kiedy ideał człowieka „dobrze wychowanego“ był jeszcze czemś zupełnie poważnem...

K. Ł. K.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO

Zmarł w 83 roku życia znakomity filolog klasyczny, Ulrich von Wilamowitz-Moellendorf. Urodzony w Markowicach na Kujawach, był bratem naczelnego prezesa W. Ks. Poznańskiego, Hugona. Całe życie z rozrzewnieniem Kujawy wspominał, a poznawszy z przekładu „Moją pieśń wieczorną“ Kasprowicza, pisał o niej z zachwytem w przedmowie do broszury Feldmana (1917). Wykładał filologję klasyczną w Getyndze, wreszcie od r. 1896 do 1922 w Berlinie. W r. 1889 wydał słynne dzieło o tragedji greckiej. Jako emeryt zaczął pisać na dobre. Wydał dzieło o Platonie w 2 tomach, o Iljadzie, Homerze, o Pindarze, o poezji greckiej (2 tomy) i in. W tym roku ukazał się pierwszy tom wielkiego dzieła Wilamowitza *„Der Glaube der Hellenen“* i zapowiedział za rok tom drugi. Miał też talent poetycki. Znawcy upatrują pokrewieństwo między nim a Kasprowiczem. Wspaniałe są przekłady Wilamowitza tragedyj greckich.

*

W ostatnich dniach września odbył się w Wilnie zjazd matematyków polskich. Przybyli też obcy, między nimi prezes francuskiego tow. matemat. Arnold Denjoy, oraz prof. Surgescu z uniw. Cluj w Rumunji. Ogółem uczestników zjazdu było 180. Polskie Tow. Matem. reprezentował wiceprezes J. Rudnicki w zastępstwie chorego prezesa W. Staniewicza. Przewodniczył S. Dickstein jako najstarszy. Sekcyj były sześć, 50 referatów. Treść ogólniejszą miały referaty historyczne: Dicksteina „Hoene-Wroński. Balzano i Comte“ i Sergescu o dziejach matematyki greckiej aż do średniowiecza, przyczem autor stanął w obronie poniewieranej scholastyki. W sekcji VI wielkie zainteresowanie i dyskusję obudził referat K. Jantzena (z Wilna) o nauczaniu w szkole średniej. Stwierdzono, że młodzież przychodzi do uniwersytetu bez elementarnych podstaw wiedzy matematycznej. Cudzoziemcy z uznaniem mówili o polskiej nauce; Wilno bardzo się podobało.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

„Pamiętniki z roku 1830 — 1831“ generała Ignacego Skarbka-Kruszewskiego, herbu Habdank, byłego dowódcy 5-go pułku ułanów polskich, a podczas emigracji dowódcy lekkiej kawalerji w wojsku belgijskiem, wydane zostały przez córkę jego Karolinę z Kruszewskich Grabińską w Krakowie w 1890 r. Obecnie wydane są po raz drugi przez wnuka, Kazimierza Skarbka - Kruszewskiego, z portretem autora i planami strategicznemi, tak jak w pierwszem wydaniu, a nadto uzupełnione ilustracjami, w Warszawie, czcionkami Zakł. Graf. P. Szwede. Ignacy Kruszewski był uczestnikiem powstania od pierwszego momentu. Wspomnienia jego, kreślone żołnierskiem piórem, nacechowane miłością ojczyzny i żywą troską o przyszłość, przedstawiają tragiczny chaos, który pod niefortunnem dowództwem, a następnie dyktaturą Chłopickiego zmarnował możliwości zwycięstwa. Zwłoka w zorganizowaniu wielkiej armji ochotniczej, upór w niedopuszczeniu do udziału w komendzie generałów utalentowanych, jak naprzykład Prądzyńskiego, brak czucia z sercem narodu, brak decyzji i ciągłe tajemnicze kunktatorstwo, stały się powodem klęski. Zły przykład z góry, protekcjonizm w awansowaniu oficerów i wogóle ciasnota horyzontów człowieka, który nie dorósł do powierzonej mu roli dziejowej, powodowały u podkomendnych generałów, w trakcie zmagań wojennych z pięciokrotnie liczniejszą armją nieprzyjacielską, rozluźnienie węzłów karności, samowolę, bierność, a czasem i tchórzostwo, graniczące ze zdradą. Doszło do tego, że generał Skrzynecki działał na własną rękę, wbrew planowi zasadniczemu, przyczem traktował o kapitulację, w rezultacie nie uzyskawszy wzamian nawet zaszczytu odpowiedzi. Kruszewski zapisuje krok w krok drogi pochodu i rejterady, i z punktu strategicznego, ilustrując rysunkami, przedstawia potyczki, batalje, bitwy, pod Dobrem, Wawrem, wielką bitwę pod Grochowem, pod Dębem Wielkiem, pod Iganiami i Ostrołęką. Powstaniu, obok zapału, ofiarności i wiary narodu, sprzyjały okoliczności innej natury. „Bóg robił dla nas wszystko“ wyraża się Kruszewski. Wojsko polskie miewało w swych poczynaniach pogodę, gdy Moskale grzęźli w błocie. Czuli się zdrowo, gdy postępującą ku Warszawie armję Dybicza trzebiła cholera. Rząd pruski, choć przez Prusy Wschodnie dosyłał Rosjanom broń i amunicję, jednak czające się wojska pruskie nie napadały powstania od tyłów. Bohaterstwo polskie mogło uzyskać szanse zwycięstwa, gdyby go nie zaprzepaszczały błędy i niezaradność dowództwa.

W literaturze, związanej ze sprawami powstania, są w pamiętniku Kruszewskiego nowością mapy bitew, toczonych w Królestwie, z drobiazgowemi komentarzami terenu i nazwami rodzajów broni, a prócz tego obfita mozajka szczegółów psychologicznych z życia wyższych polskich wojskowych i nastrojów pochodów.

Po epilogu powstania, na emigracji w Belgji, wszedł Kruszewski w służbę wojska belgijskiego, zaznał wielu zaszczytów, ale że wnet byłych oficerów wojska polskiego w służbie obcej dosięgła mściwość cara Mikołaja I-go, więcej goryczy. Ostatnie lata przebył w Krakowie, gdzie spisał wspomnienia swych ciekawych przeżyć. (A. W.).

*

W serji wydawnictw propagandowych Ligi Morskiej i Kolonjalnej ukazała się praca znanego podróżnika kpt. dypl. M. Fularskiego: „Kryzys emigracyjny, a polska polityka kolonjalna“. Książka ta w przystępny sposób omawia dotychczasowe próby ujęcia w racjonalny sposób polskiej ekspansji na tereny zamorskie. Sprawę tę autor zestawia z ruchem w tej dziedzinie wielkich narodów kolonjalnych. Zdaniem autora, naturalnym przodownikiem tej ekspansji jest emigracja polska, której do tej pory nie umieliśmy zupełnie do tego celu wyzyskać. Czynnikiem, który powinien uregulować dotychczasowe dość chaotyczne próby, winien się stać Bank Kolonjalny, centralizujący wszelką akcję w tej dziedzinie. Niezałatwienie tych spraw może spowodować, że ubiegną nas Niemcy, dążące konsekwentnie do odzyskania utraconych terenów kolonjalnych, z których część winna przypaść w udziale Polsce. Ta zaś musi lokować na obczyźnie część swego przyrostu naturalnego w obecnych, trudnych gospodarczo warunkach. Chcąc mieć zysk z emigracji, musimy ująć ją w racjonalne łożysko — oto zasadniczy motyw rozważań kpt. Fularskiego.

Książka jest ilustrowana licznemi tablicami i wykresami.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

„Vincent ou la Solitude“ (Calmann-Lévy edit.), pani Colette Yver poruszyła temat nietylko wysoce ciekawy pod względem psychologicznym, ale także i moralnym. Vincent posiada wszelkie zalety, aby zorganizować swe życie i zrealizować piękną karjerę. Ma właśnie z misją udać się do Ameryki. Na krótko jednak przed odjazdem zapada na zdrowiu, a wówczas groźne symptomaty suchot, z dnia na dzień, unicestwiają jego plany zarówno materjalnej jak i uczuciowej natury. Vincent bowiem przyjaźnił się z Denise, pracującą jako lekarka przy sławnym Farjols, specjaliście chorób płócnych. Ona to sprowadzi go do chorego Vincent.

A gdy tego spyta, czy może się ożenić, z ust uczonego padną te niedwuznaczne słowa *„interrogez votre conscience“*. Vincent zrozumiał ten wyrok. Po bolesnym, dramatycznym kryzysie duchowym, oddaje się w nędznej dzielnicy miasta całkowicie pracy niesienia, podobnie jak on chorym, pomocy materjalnej i moralnej. Wówczas to dla Vincent rozpoczyna się inne życie, bardziej od poprzedniego intensywne, gdyż autorka tej książki jest zdania, iż u istot chorych, upośledzonych na zdrowiu, budzi się inna, wewnętrzna siła, wewnętrzna egzystencja, niezmiernie bogata, często w tej „samotności duchowej“ bogatsza od tej, jaką posiadają istoty silne, zdrowe. Ten to stan nazywa zresztą pani Colette Yver „dynamizmem duchowym“. Jego to ewolucję przeprowadzi onu w sposób niezmiernie finezyjny, pełen odcieni, który bardziej jeszcze patetyczny da nam obraz owej *„cité des malades“*. (J. B.)

*

Bohaterką powieści pp. Gaument et Cé p.t. *„Echec au Roi“* (Grasset) jest kobieta fatalna, imieniem Alice. Nosi ona w sobie przedziwny płomień, ten fatalizm, który sprawia, iż dla niej mężczyzna zdolny jest popełnić szaleństwo, zbrodnię nawet Tak się też stanie i z człowiekiem, który zna Alice od jej młodych lat, gdyż razem do jednego uczęszczali liceum. Życie potem ich rozłączy na jakiś czas, ale ofiara Alice, człowiek, pod każdem względem poszanowania godny, jako żołnierz na wojnie, jako sędzia wreszcie, w chwili decydującej nie zawaha się dla tej fatalnej istoty, albo raczej na tej fatalnej istocie popełnić morderstwa. Z sędziego stanie się on oskarżonym, ale potem na swoją obronę nie znajdzie innego wytłumaczenia, jak tylko oskar-

żając los, ananke, fatalizm. Cały szereg innych na jego głowę zwali się nieszczęść, które w powieści tej są może nazbyt arbitralnie nagromadzone. Na uwagę natomiast zasługuje analiza uczuć, jaką autorzy przeprowadzają z dużem zrozumieniem charakterów (I. B.).

*

Nad rodziną Thuriès ciąży niezawodnie złowrogi fatalizm. Dziadek utopił się; jedna z wnuczek później pójdzie w jego ślady; jeden z wnuków zginie niby z wypadku na polowaniu. Cóż więc dziwnego, że w tych warunka Claire de Thuriès, bohaterka powieści „*Le Paradis des Amants*“ myśli, pod wpływem miłości, o zadaniu sobie śmierci? Posiada ona jednak wuja, który jest biskupem, a siostra jej, Sybille, zamierza wstąpić do klasztoru. Claire spędza większą część roku w zamku rodzinnym, w górach Cévennes, gdzie mieszka jej ciotka, pani de Sauzeuilh. Tam pozna swego kuzyna, dyplomatę i estetę, Claude de Kérohan. Ten bawi się uczuciem, jakie wzbudza w sercu swej kuzynki, pełnej mistycyzmu, ale w której pod wpływem młodego kuzyna budzą się i zmysły. Wówczas zmagania się Claire z samą sobą stają się coraz dramatyczniejsze. Aż przyjdzie chwila, w której zwycięży dusza, a wówczas poświęci się ona wspomaganiu biednych, chorych, starców, wyrzekając się znikomego szczęścia. Etapy tej ewolucji duchowej opisał p. Lucien Fabre w sposób przejmujący. Można mu tylko zarzucić tytuł tej książki, który bynajmniej nie odpowiada koncepcji „raju kochanków“ (I. B.).

TEATR

OTO KOBIETA

TEATR Polski ustatkował swoją Melpomenę dotyla, że już mógł otworzyć podwoje dla publiczności. Jakby nigdy nic nie zaszło, odegrano na początek komedję angielską „Oto kobieta“ (autor W. S. Maugham).

Owa „*hic mulier*“, bohaterka sztuki, nosi imię Konstancji, które znaczy: stałość. Patrzymy na kobietę, która z odmętów złego obyczaju dokoła ratuje ideał kobiety-człowieka. Może to postać właśnie Malpomeny smaej?

Jej mąż to jakby publiczność, która się „puszcza“ w pogoni za muzami lżejszemi. Konstancja zrzeka się pieniędzy męża, chce być wolną moralnie. Wyrozumiała na słabości ludzkie, bawi się niemi, nie zdradzając osobistego bólu. Panuje blaskiem wewnętrznym. Tylko twórczość artystyczna i drugie — słońce tak panują nad światem.

Mąż jej, chirurg, więc nauka i technika — sam przez się jest w jej życiu zerem, luźny jest jej stosunek do matki nawet, jako dyrekcji oportunistycznej. Szanuje tylko idee tych stosunków i jest przez to nawskroś społeczna; zobowiązania są dla niej rzeczywistością; nie ma w sobie tendencyj anarchicznych. Wiąże się z pracą i w niej widzi ostoję. A duszą jest dla człowieka, który jest wierny. Konstancji wystarcza pewność, że uznaje ją człowiek, krążący koło niej w odległości.

Sztukę tę wystawiono dla roli głównej, owej Konstancji, więc dla p. Przybyłko-Potockiej. Ona ją reżyserowała i zrobiła to doskonale.

Trudno o piękniejszą postać Melpomeny, jak ta artystka, pełna poczucia stylu i prawdy psychologicznej.

Czy Maugham i p. Potocka myśleli o postaciowaniu Sztuki w tej komedji, nie jestem pewien. Ale mnie napastowała myśl o niej w wyziębionej z powodu dłuższej przerwy sali teatralnej. Z. W.

ZE ŚWIATA SZTUKI

SUKCES, odniesiony przed kilku laty przez „Bractwo Św. Łukasza“, po jego pierwszej wystawie w Zachęcie, stał się jednocześnie trjumfem metody pedagogicznej prof. T. Pruszkowskiego i zwrócił uwagę powszechną na działalność wychowawczo-artystyczną znakomitego nauczyciela. Jedynym zarzutem, uczynionym pod adresem „łukaszaków“, było twierdzenie, iż zbytnio ulegają wpływom malarstwa 17-go wieku, zwłaszcza holenderskiego. Profesor Pruszkowski wystąpił w obronie swych uczniów, co zresztą jest odruchem sympatycznym i zrozumiałym, dalej jednak młodzieży na „holendrów“ nie kształcił. Rezultatem zmodyfikowanych sposobów pedagogicznych jest właśnie „Szkoła Warszawska“, w której skład wchodzą młodsi koledzy „łukaszaków“. Stowarzyszenie to występuje obecnie z wystawą prac w Zachęcie po raz drugi i chociaż możemy być jeszcze świadkami wielu zmian w twórczości poszczególnych, należących doń artystów (poza naturalnym rozwojem oczywiście) — dziś już stwierdzić można, iż razem z „Bractwem“, ma ono wszelkie dane do odegrania w polskiej sztuce współczesnej roli poważnej. Nie mam zamiaru wyliczać tu wszystkich różnic między „Bractwem“, a „szkołą“, gdyż jest ich nazbyt wiele. Ograniczę się tylko do jednego obrazowego przykładu. Oba stowarzyszenia, porownane pod pewnym kątem, to jakby wielki śpiewak operowy w zestawieniu ze znakomitym piosenkarzem, lub pieśniarką (w rodzaju np. Korwin-Szymanowskiej). Wielki tenor („Bractwo“) posiada materjał głosowy wspaniały, ale bywa czasami zbyt pompatyczny i nieco przyciężki, piosenkarz („Szkoła“) nie jest tak „monumentalny“, nie imponuje może siłą, lecz zato podbija nas swym wdziękiem, oraz inteligentną pomysłowością interpretacji. Pozatem „Szkoła Warszawska“ wyróżnia się tą dobrą współczesnością, która, czujna wobec dnia dzisiejszego, stara się wyrazić własny do niego stosunek, nie naśladując postawy innych. Widzimy tu i ślady obcowania ze sztuką Zachodu, obcowania w sposób rozważny i świadomy istotnej wartości poznawanych prawd. Zagadnienia frapujące młodych malarzy, to przeważnie problematy koloru i kompozycji, nie spotykamy zadań na formę i konstrukcję, ujęcie tematu pod względem formalnym odznacza się często dużą dekoracyjnością. Zwraca uwagę wybredna pomysłowość tematów, wyszukiwanych starannie, z dbałością o ich wyraz i w tem tkwi pierwiastek intelektualny. Obok wyrazistości pomysłu (literackiego) odnajdujemy i wyrazistość kształtu, ujmowanego nieraz w sposób dosadny.

Oto garść spostrzeżeń natury ogólnej. Wymienione właściwości posiadają oczywiście nie wszystkie dzieła i nie w jednakowem natężeniu, niektóre obrazy, np. Al. Raka, bardziej u siebie byłyby na wystawie „Bractwa Św. Łukasza“. Przechodząc do charakterystyki artystów, zgrupowanych w Szkole Warszawskiej, zacznę od Władysława Kocha. Młody malarz wystawia po raz pierwszy i jego debjut możemy nazwać rewelacją. Studja ludzi, pejzaże są tu właściwie zadaniami na wyraz i kolor. Wyraz ujawnia się nietylko przez kształt, ale i barwę. Chwaląc czyjś koloryt, mówimy często o artyście, że jest śmiały w swych zestawieniach barwnych, w innym wypadku, że — subtelny. Wobec sztuki Kocha oba te określenia wydadzą się powierzchowne. Bo tu największe wyrafinowanie, dar rzadkiej inteligencji artystycznej, popartej wnikliwą intuicją, daje harmonje o cierpkim posmaku bolesnej niemal rozkoszy. Walor, kolor, odważane na wadze najczulszej, z troską i pasją, zmuszają nas do zapomnienia o tem, jaki jest związek tych obrazów z naturą, artysta, nie pacząc jej zasadniczo, przenosi się w regiony najczystszej sztuki i my podążamy za nim, doznając głębokiej i utajonej radości. Niema tu zmysłowości barw, ich trujący czar działa na nas nieodparcie w najpoważniejszej pracy artysty: „Sztuczne Kwiaty“. Pretekstem jest tu góralka ze sztuczną różą w ręku, na tle sczerniałych obrazów świętych. Natomiast prawdą najbardziej istotną staje się zestawienie kolorów twarzy i chusty. I na tle tych barw, dobranych nie łatwizną stonowania, jak na tle chóru głosów nizkich, brunatnych i ciepłych, dźwięczy ostry i przenikliwy trójgłos trzech plam: pasków niebieskich i sztucznej róży.

W pejzażu górskim Kocha, chłodno-sinym, wysiłek konia, ciągnącego wóz z belką, podkreślony jest przez wykonanie tej drobnej plamy, bardziej staranne i gładkie. W ten sposób mały fragment narzuca się uwadze widza i stają się zrozumiałe intencje artysty: ukazanie ruchu istoty żywej wobec spokojnej obojętności przyrody.

Duży postęp wykazują prace Leokadji Bielskiej. Artystce nie odpowiada błyszcz farby olejnej, ucieka się przeto chętnie do innych środków: tempery i gwaszu. Lubi tonację chłodną. Jakkolwiek tylko akwarela zostawia ślad na papierze za lada dotknięciem pędzla, a farby olejne i względnie gęsta tempera wymagają wtarcia w płótno — obrazy Bielskiej wyglądają tak właśnie, jakby były rezultatem przelotnego zetknięcia pędzla z płaszczyzną płótna. Nawet to, co pozostaje przy tej manipulacji, wydaje się czasem malarce za sute, bo przeskrobuje nieraz miejsca grubiej założone, aż do obnażenia gruntu. Taka technika daje wrażenie swobody i lekkości, mżenie przeświecającego tła ożywia mat farby. Najbardziej dociągnięty jest portret małej dziewczynki („Krysia"). Zestawienie różowej buzi, płowych włosów i bardzo niebieskich oczu daje odpowiedni efekt, szczęśliwy w wyrazie, bez uciekania się do ekspresji kształtu, jak to widzimy w małych góralkach Kocha.

Teresa Roszkowska reprezentowana jest na wystawie obfitą ilością malowideł, w których jej indywidualność zarysowuje się już zupełnie wyraźnie. Talent typowo kobiecy. A więc posiada artystka dużą łatwość wypowiadania się, posuniętą czasem aż do gadatliwości, bujną fantazję i pewną powierzchowność w traktowaniu szczegółów, nadających się do bardziej wyszukanego opracowania. Technika jest pomysłowa (wszystko malowane temperą), koloryt bogaty i często szlachetny, kompozycji nic zasadniczo zarzucić nie można. Pozostaje jeszcze do omówienia rzecz b. ważna i dla artystki bodaj najcharakterystyczniejsza: temat i jego ujęcie. Innemi słowy — chodzi o wizję artystyczną. Obraz jest ukazywaniem pewnej rzeczywistości, jeżeli wyobrażane kształty znajdują się w bezruchu, lub opowiadaniem o czemś, jeśli tematem obrazu jest ruch, działanie. I właśnie Roszkowska nam opowiada. Boże, czego tam niema, na tych obrazach! Tu jakiś facet wlazł na drzewo z rękami i nogami i nawet z drabiną (Pomarańczobranie), tu znowuż drugi bubek siedzi w „ogródku" na drabinie i maluje ramę okienną w taki sposób, że dziwimy się, dlaczego się jeszcze nie zwalił. Tam pan naczelnik na peronie macha czerwoną chorągiewką, która zapewne ze strachu zesztywniała. Tu dla odmiany drzewko, a pod drzewkiem para, a między parą flacha. I co to jest? Wiadomo — miłość.

Zabawne to wszystko, ale ci ludkowie są czasem zbyt szablonowi. Zdawałoby się, iż artystce wystarcza, gdy zrozumiemy, że to są ludzie i co oni robią. Na tem poprzestaje. Ale przecież te scenki i historyjki, nawet przy tak silnej interpretacji, to jednakże podpatrywane życie. Oczywiście z tego powodu nie żądamy, aby ludzie wyglądali „jak żywi". Może jednak przydałoby się trochę ich zróżniczkować. Obdarzyć pewną indywidualnością. Wtenczas staną się jeszcze bardziej zabawni.

Z Roszkowską sąsiaduje Przeradzka. Widzimy u niej dbałość w wyszukiwaniu tematów, o dowcipie nadającym się do wypowiedzenia plastycznego (Niedzielny spacer, U fotografa). Gdyby artystka była satyrykiem, jej obrazki, przy tej samej treści, tchnęłyby zjadliwością; ale Przeradzka nie ma w sobie żółci (nie wiem, czy to wypada tak mówić o paniach?), więc jej sztuka jest dosyć beztroska. Pozatem rzeczy te posiadają pewien sentyment i dowcip ratuje je od ckliwości. Technika obecnie stała się bardziej szeroka, lecz mam wrażenie, że i tematom i artystce więcej odpowiadała poprzednia, bardziej miękka i delikatna, jak w „Łaźni", wystawionej swego czasu u Baryczków.

W. Palessa wystawił jeden duży obraz: akt z saksofonem. Jeżeli to malowane z natury — forma traktowana jest zbyt powierzchownie, jeżeli z wyobraźni — zadużo tu natury. Wydaje mi się, że malarz poszedłby chętnie na jakieś koncepcje irrealne, trzyma go jednak na uwięzi zbyt świeża jeszcze pamięć szkolnych studjów z modela.

Jaworski H. i Ujejski W. wystąpili z pejzażami. Piękne krajobrazy Jaworskiego (tusz) cechuje wyszukana i szlachetna technika, jeden z nich nosi charakter eklektryczy, czuć tu powiew sztuki Corot'a i Claude Lorrain'a; drugi jest bardziej osobisty. Ujejski pokazał nam kilka sztuczek technicznych, teraz kolej na obrazy.

Portret Bartoszewicza posiada wszystkie typowe zalety jego pędzla. B. ma wszelkie dane po temu, by zostać pierwszorzędnym, no i wziętym portrecistą.

Pozatem wystawiają: Arct, Bylina i Rak. Nie chcąc, z braku miejsca, zbywać ich zdawkowym komplementem, napiszę o tej trójce następnym razem. W. P.

NOWE KSIĄŻKI

Nauka polska, jej potrzeby, organizacja i rozwój. XIV. Wydawnictwo Kasy im. Mianowskiego. Warsz. 1931 r X i 405.

Kossowski Stanisław dr. O poemacie Słowackiego „W Szwajcarji". Uwagi nad krytyką i egzegezą tekstu. S. 38. Odbitka z „Przegl. Human". VI. Lwów 1931, S. 38.

Studencki Stanisław. O typie psycho-fizycznym Polaka. Przyczynek do charakterystyki psychol. typów antropologicznych wśród młodzieży polskiej. Poznań 1931. Pozn. Tow. Psychol. S. 42 i tabl.

Krasuski Z. J. Droga do dobrobytu. Jak stać się niezależnym? Warsz. 1931. Nakł. własnym. S. 128.

Makarczyk Zbigniew M. *Les oligarchies modernes. Thèse de doctorat. Univers. de Lausanne.* Lausanne 1931. S 104.

Samsonowicz J. Cechsztyn, trias i lias na północnem zboczu Łysogór. Warsz. 1929. S. 281 i 7 tab.

Centralny katalog czasopism i wydawnictw ciągłych w bibljotekach poznańskich. Poznań 1931. Nakł. biblj. Uniw. S. XV + 285.

Czerwiński Teodor ks. Pamiętnik. Cz. I. Kielce 1931. Str. 57.

Fularski Mieczysław. Kryzys emigracyjny a polska polityka kolonjalna. Warsz. 1931. Inst. Ligi Mor. S. 30.

Kukulski Zygmunt prof. Źródła do dziejów wychowania i szkolnictwa w Polsce z doby Izby edukacji publicznej 1807—1812. Lublin 1931. Dom ks. Pol. Str. LXI + 637.

Wołoszynowski Juljan. Rok 1863. Poznań 1931. Wydaw. Polskie R. Wegner. Z ilustr. S. 466.

Chrzanowski Ignacy. Uwagi o monografji J. Ujejskiego „Dzieje polskiego mesjanizmu". Odb. z „Przegl. Współcz". Nr. 111. 1931. Kraków. S. 46.

Niepodległość. T. IV, zesz. 2. Warsz. 1931. Nakł. Księg. Hoesicka.

Przegląd Powszechny. Kraków, wrzesień 1931.

Ruch Charytatywny, nr. 7-8 (lipiec sierpień) 1931. Warszawa.

Polacy zagranicą, nr. 8-9 (sierp.-wrzesień). Warszawa.

Helsztyński Stanisław. Na Pałukach (Żnin, Wągrowiec-Szubin). Sonety. Inowrocław 1931.

Ossendowski F. Antoni. Zwierzyniec. Z 8 ilustr. T. Rojana. Poznań 1931. Wydaw. Polskie. R. Wegnar.

Jan Gwalbert Pawlikowski. O styl zakopiański w budownictwie Zakopanego i Podhala. Kraków 1931. Odbitka z IX rocz. „Wierchów". Nakł. Tow. Tatrzańskiego. S. 56. z ilustr.

Jan Gwalbert Pawlikowski. O stylu zakopiańskim. Warsz. 1931. Wyd. Kasy im. Mianowskiego. S. 17. dwu szpalt. Folio.

Stendig S. dr. Współczesna rodzina wielkomiejska w świetle socjologji wychowania. Studjum krytyczne. Kraków 1931. Dom Książki Pol. S. 32.

Sotnicki Seweryn. Obrazki z dziejów Polski (z ilustr.) Lwów 1931. Ossolineum.

Auerbach Marjan. Gramatyka łacińska. Podręcznik dla szkół średnich. Wyd. II. Lwów. Ossolineum.

Dąbrowski Aleks. *Praktische Grammatik der deutschen Sprache.* Wyd. III. Lwów 1931. Ossolineum.

Słowacki Juljan. Dzieła wszystkie. Tom VI Lwów 1931. Ossolineum.

Szczepański Jan. Kultura klasyczna w zarysie. Wydanie nowe, opracowane przy współudziale J. Parandowskiego. I tom — tekst str. 466, II — atlas str. 108. Lwów 1931. Ossolineum.

Boy Żeleński. Zmysły... Zmysły... Warsz. (1931). Bibljoteka Boya.

Ruch Literacki. n. 7 (wrzesień). Warszawa.

Lud. Organ Pol. Tow. Etnogr. Tom 30 zesz. I-II. Lwów.

Przegląd Współczesny. Kraków, październik.

Oświata Polska. Warsz., nr. 3.

OFENSYWA

TELETYPESETTER, KENDYR, TAN-SAGYR I T. P.

W OSTATNICH miesiącach letnich przeprowadzono w Sowietach z dużym sukcesem próby równoczesnego drukowania gazet, wychodzących w Moskwie, z gazetami drukowanemi w innych miastach prowincjonalnych na całej przestrzeni Unji Republik Sowieckich. W tym celu matryce „Prawdy" i „Izwiestij" aeroplanami rozsyłano do miast prowincjonalnych, oddalonych nawet do 2.000 klm. od Moskwy. W małych miastach pojawiały się więc już pisma z tą samą treścią, co pisma stołeczne. Ostatnio atoli moskiewskie „Izwestja" czyniły próby przenoszenia odbitek gazety drogą fototelegramu. Odbitki stronic numeru „Izwiestij" po przełamaniu przenoszone są do centrali telegraficznej, skąd specjalny aparat przenosi fotograficzny obraz stronicy w przeciągu 3 minut np. do Leningradu; w Leningradzie przyrządzają matrycę, względnie kliszę, z której robią stereotyp, a następnie drukuje się całą gazetę. Ponieważ dotychczasowe próby udały się, przeto w najbliższym czasie będzie to w praktyce zastosowane na stałe.

Jeszcze dalej postęp w wynalazczości pod tym względem poszedł oczywiście w Ameryce. Już w zimie tego roku Marconi dał przedstawicielowi *„United-Press"* wywiad w sprawie urzeczywistnienia najbardziej interesującego go obecnie problematu t. j. transmisji foto-radjo-telegraficznej, czyli nadawania i momentalnego odbierania na największe odległości wszelkich *fac-simile* t. j. podobizn kompletnych, całkowitych stron druku i rękopisów. Marconi mówił:

„Jestem pewien, że w krótkim czasie transmitowanie *fac-simile* będzie tak udoskonalone, że będzie je można stosować do celów handlowych (i prasowych) i stanie się dostępne dla szerokiego ogółu. Bodaj-że nastąpi to już za kilka miesięcy. Wprowadzenie tego systemu zrewolucjonizuje obecny system komunikacyj na całym świecie. Nadewszystko przyśpieszy przekazywanie na dalekie odległości myśli ludzkiej. Zamiast transmitowania mowy męża stanu np. litera po literze, wyraz po wyrazie, pozwoli system foto-radjo-telegraficzny na jej transmisję całkowitą odrazu, na transmisję całej kolumny, całej strony i t. p. Z chwilą udoskonalenia tego systemu, świat przemysłowy, giełdowy, handlowy (i polityczny) będzie mógł transmitować drogą foto-radjo-telegraficzną w kilka minut, a może i sekund, do każdego miejsca na całej kuli ziemskiej te same listy, które dzisiaj posyła pocztą. Pomyśleć tylko, jaki kolosalny przewrót system ten spowoduje w obecnym systemie komunikacji! I tak, będzie można transmitować w ciągu jednej minuty tysiąc wyrazów tekstu, tekst ten będzie mógł być sposobem fotograficznym zredukowany tak dalece, że jedna stronica będzie mieściła tysiące wyrazów, poczem taki foto-radjo-telegraf powiększony zostanie na stacji odbiorczej i odczytany przez adresata za pomocą zwykłego szkła powiększającego".

Tyle Marconi, jak wiadomo, zawsze bardzo powściągliwy w swych horoskopach naukowych. Urzeczywistnienie tego wynalazku pójdzie mu dość łatwo, jeżeli się zważy, że potężny koncern dla eksploatowania foto-radjo-telegraficznych wynalazków Marconiego, po połączeniu się *Marconi-Society* z Towarzystwami *„Eastern Telegraph-Company"*, z *„Extension"*, *„Western"* i *„Greath Northern"* rozporządza kapitałem 53.700.000 funtów szterlingów (2 miljardy złotych).

Równocześnie na wystawie styczniowej w New-Yorku nowych aparatów z tej dziedziny, wynalazca Walter W. Morey prezentował już swój teletypesetter t. j. linotyp na odległość. Wynalazek polega na tem, że przy pomocy odpowiednich kluczów elektrycznych przy maszynie do pisania jeden człowiek, siedzący np. w Waszyngtonie, może odrazu składać artykuł do druku w setkach i tysiącach (tysiącach!) drukarń gazetowych, rozsianych nie tylko po całych Stanach Zjednoczonych, ale po wszystkich częściach świata, gdzie język angielski sięga. Zakład drukarski do wydawania pisma w przyszłości (za lat 20) składać się będzie z jednego takiego przyrządu, z jednego teletypesetteru, otrzymującego wiadomości i artykuły za pomocą telegrafu lub telefonu iskrowego i równocześnie automatycznie składającego owe wiadomości, artykuły, mowy mężów stanu i t. p. w formie gotowej wprost do druku.

I oto już 3 kwietnia roku Pańskiego 1931 tytułowa stronica wielkiego kalifornijskiego pisma drukowana we „Frisco" (San Francisko) przemknęła przez cały kontynent amerykański (z brzegów Oceanu Spokojnego na brzeg Atlantyku) by po upływie 3 (trzech) godzin ukazać się w przedruku na ulicach N. Yorku. Transmisji tej na 4000 klm. uskuteczniono przez radjo na krótkiej fali *via* Oackland — Shenectary. Papier gazety, na którym dokonano radjografji, miał 20 cm. szerokości i rozwijał się z szybkością 12,2 milimetrów na minutę; po udoskonaleniu stronicę druku odtwarzano już w kilka sekund.

Gdy te wynalazki zestawi się i skombinuje, widać już w pewnych zarysach bardzo niedaleką przyszłość prasy codziennej. Dziennikarstwo dojdzie do centralizacji bezwzględnej i prasa lokalna, prowincjonalna znajdzie się w trudnem bardzo położeniu. Ale są jeszcze perspektywy dalsze. Aparat regestrujący może być dostosowany do każdej stacji odbiorczej. Zaczem? Niedaleki jest już może czas, kiedy dzięki radju każdy radjo-abonent będzie mógł mieć na stole swoją gazetę gotową?

Otóż rzeczą interesującą, ciekawą, ważną, poważną i aktualną dla nas jest stwierdzenie tego faktu, jak to Unja Republik Sowieckich w tempie już nie przyśpieszonym, ale piorunująco-amerykańskiem przyswaja sobie teraz te wszystkie nowe, właśnie amerykańskie wynalazki i odkrycia. W Europie i w Ameryce ludzie myślący zwracają na to ogromną uwagę. Bardzo też wiele o tem na Zachodzie pisze się i drukuje. U nas zajmuje się tem głównie i specjalnie dosłownie nikt. Nikt.

Nikt się nie zajmuje tem, że w r. 1931 w Sowietach pracowało 145,000 traktorów o wspólnej sile 7 miljonów koni parowych.

Nikt się nie zajmuje tem, że Sowiety mają już 1040 stacyj traktorowych.

Nikt nie pisze u nas o takich dwóch wynalazkach rosyjskich z dziedziny aeronautyki.

Konstruktor I. Machonin wynalazł powiększalne i wysuwalne skrzydła aeroplanowe i prezentował je w Paryżu. Ze względu na to, że rozszerzają się one t. j. wydłużają zależnie od ciężaru, zmniejszają opór powietrza. W ten sposób zwiększają szybkość i umożliwiać mają przelot z Europy do Ameryki w ciągu 12 godzin.

Inżynier Grodkowski skonstruował spadochron o te precyzji, że planowanie na ląd nie ma przedstawiać żadnego literalnie niebezpieczeństwa dla pilota; czyniono próby z koszami pełnemi jaj; ani jedno jajo przy planowaniu spadochronu nie stłukło się.

O tem u nas nie pisze nikt; nikogo nie interesuje to, że Moskwa buduje obecnie dwa Zeppeliny, jeden o 20,000 metrów kubicznych, drugi o 40,000 metrów kubicznych, no i dla nich olbrzymią, „gigantyczną" halę pod Moskwą.

Ważny też jest kauczuk, guma, problem zajmujący w ostatnich czasach Edisona.

Zanim Edison doszedł do jakichś pożytecznych rezultatów, profesor Pawłow odkrył kauczuk w dwóch roślinach, w dwóch trawach: w trawie nazwiskiem „Kendyr" (Kirgizja Ural) i w trawie zwanej Tan-Sagyz (Pamir); pierwsza zawiera 30% kauczuku w stanie płynnym, druga 42%. Zaplantowano już 13,000 hektarów ziemi dla kultury tych traw. Tym kauczukiem Sowiety zalać chcą glob ziemski...

Stanowczo: za mało interesujemy się temi sprawami.

A za dużo tą stęchłą sieczką myślową, którą wygarniają przed nami takie groteskowe karliki jak ten prezes, ten minister, ten wojewoda i t. p. drobnoustroje.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Pol. Ag. Tel. rozesłała dn. 4 b. m. do prasy depeszę, rozpoczynającą się od słów: „Arcybiskup miasta Reims, ks. Suhard, w otoczeniu licznego duchowieństwa, *przewodniczył* dziś w uroczystości ceremonjalnego otwarcia starej, historycznej katedry, *tego klejnotu stylu romańskiego*, która uległa częściowemu zniszczeniu w czasie wielkiej wojny"...

Świetny jest ten urzędowy korespondent!.. Jak on głęboko potrafi wzruszyć się pięknem historycznego zabytku, jak gorąco czuje potrzebę wyładowania swego artystycznego entuzjazmu, nazywając katedrę w Reims... „klejnotem"! Nie zorjentował się tylko biedaczyna, że katedra w Reims jest budowlą... gotycką, nie zaś romańską, no i że duchowny katolicki podczas ceremonji liturgicznej celebruje, a nie „przewodniczy", jako że ołtarz nie jest... stołem prezydjalnym, za którym zasiada Wielki Mistrz Loży...

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.